



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5; rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebiera i Spół., kwartal. 5 marek

## OD WYDAWCY.

Nowi prenumeratorowie otrzymać mogą na żądanie bezpłatnie początek powieści „Hrywda“ i „Ordynat na Ballantrae“, których druk w roku zeszłym w Bluszczu się rozpoczął.

## POGA WĘDKA.

Zima sobie przypomniała, że niedarmo nosi familijny przydomek „srogiej“, więc wzięła na ambit i ni ztąd ni zowąd sypnęła taką śnieżycą, że omal całej Warszawy nie zamieniła w Herkulanum. mamy tedy istne okopy po ulicach; z jednego chodnika na drugi trzeba brnąć przez lawiny na bruku, na dachach biela się kopce śniegu, a gospodarze domów zarówno ze stróżami kamienicznymi klną, patrząc na te zasy, które trzeba będzie usuwać.

Dzisiaj już po pół rubla od fury żądają za wózkę chłopci, którzy przyjechali do Warszawy na zarobek, a meteorologia przewiduje, iż roboty im nie zabraknie, bo śniegi jeszcze spaść mają w większej obfitości. Miła perspektywa!...

Przy wagonach tramwayowych całe „kollegia“ końskie pracują w zaprzęgu, z wielkim wysiłkiem

zaledwie w trójkę mogąc po szynach krok za krokiem toczyć pasażerów. Pociągi się spaźniają stale na kolejach żelaznych, a na całe pocieszenie czytamy codzieln w telegramach, że jeszcze gorzej dzieje się w Czechach, w Austrii Dolnej, na Węgrzech, nawet na południu Europy, gdzie w niektórych okolicach komunikacja zupełnie przerwana została.

Odmiatanie śniegu, oczyszczanie toru i przekopywanie dróg pochłonę teraz ogromne summy, ale większą stratą grozi ewentualność możliwej odwilży, a gdyby tanagle przyszła z pierwszymi uśmiechami wiosny, sprowadziłaby klęski nowych wylewów, które w jesieni roku zeszłego tyle złego zrzędziły w środkowej Europie.

Do wiosny wprawdzie jeszcze daleko, więc możemy mieć nadzieję, że słońce mniejszemi partjami stopi tę śniegową skorupę, jaką zima narzuciła na zmarzniętą ziemię,—w przeciwnym razie musielibyśmy się tej wiosny obawiać, jak niszczycielki.

Tymczasem nie myślimy jeszcze o przyszłości zagrożonej, ale korzystamy z uciech karnawału, który rozpoczął się w Warszawie pierwszą maskaradą i pierwszym balem publicznym, na dochód Osad rolnych i przytułków dla dziewcząt.

Bał w salach ratuszowych udał się trochę lepiej od balu maskowego w salach reductowych. ale jeden i drugi zrobił *fiasco*; nie powiodły się również pierwsze wieczory w rozmaitych re-sursach i stowarzyszeniach. Z karnawałem bywa, jak z lokomotywą, która najbardziej sapie i ociężale kołami obraca, gdy z miejsca rusza, potem gdy się rozpędzi, to już na złamanie karku; przewiduję, że tak będzie i tego roku z zabawami, których wielka mnogość jest zapowiadana na lądzie i na lodzie. Komitety balowe przesadzają się w pomysłach i staraniach zwabienia jaknajliczniejszego towarzystwa i uświetnienia zabawy; jednym malarze ozdabiają własnoręcznymi rysunkami karnećki do tańców, drudzy aż z za-

granicę sprowadzają te kosztowne drobiazgi, tłómacząc się, że żadna firma na miejscu nie podjęła się obstalunku wykonać na termin.

Podobno na jednym z balów ma być urządzoną wystawa wszystkich posażnych jedynaczek na wydaniu, na drugim zaś urządzoną będzie loterya... na mężów; na trzecim zaś dopuszczane być mają tylko same „piękne kobiety“, która zatem w Warszawianek dba o taką opinią, będzie musiała choć na chwilę zjawić się na sali, aby nie uchodzić za brzydką i wykluczoną z takiego zebrania.

„Panięskich“, „prawdziwie panięskich“ i „jeszcze panięskich“ wieczorów ma się do popielca odbyć takie mnóstwo, że chyba faktycznych kawalerów do utrzymania słodkiej harmonii i równowagi obu płci zabraknie w Warszawie, jeżeli prowincya nie zasili nas dziarskim zastępem *epouserów*, nadzwyczaj pożądanym na naszym bruku.

Niestety, prowincya jakoś nie rusza się w tym roku i tak jej w porę spadły śniegi, że może swą nieobeźność w karnawale zwalić na „złe drogi“, po których ze wsi do miasta przekopać się niepodobna.

— Co wy tam robicie teraz na wsi?—spytałem jednego ze szczęśliwych hreczkosiejów, który się wymknął do Warszawy, pod pretextem poradzenia się doktora, na gwałtowne zwiększającą się lysinę.

— Ha, cóż!—odrzekł, wsuwając ręce w niemniej wyłysiałe kieszenie,—rozmyślamy na tem: czy nie dobrzeby było wybrać się razem z chłopami do Brazylii?

Ciężka zima przerwała trochę ruch emigracyjny za Atlantyck, ale go nie zatłumiła całkowicie; ciągle jeszcze słycać o takich, którzy już wyszli albo o takich, co się wybierają. Przeciw agitatorom rozpoczęły się kroki, kilku agentów uwięziono i osadzono, ale samo ziarno agitacyi, raz zasiane, pleni się dalej, jak kąkol, którego nie

tak łatwo wyrwać i usunąć z korzeniem. Rada na to w naszych warunkach trudna; niema tylu równoważnych sposobów i środków przeciwdziałania, iloma posługuje się amerykańska spekulacja na łatwowierność ciemnego ludu, który dobrowolnie w nową zaprzęga się pańszczyznę za Oceanem, pozbywszy się jednej tu na miejscu.

Najważniejszy jeszcze wpływ mogliby wywierać duchowni, korzystając ze swej powagi i zaufania, jakie ma prosty lud do swoich duszpastry.

Opuszczanie własnej ziemi i marnowanie ojcowizny w pogoni za złudną marą dobrobytu gdzieś w obcych stronach jest grzechem potępionym na równi z owym ewangelicznym służą, który skarby zakopał.

To wszystko, co się u nas pisze i drukuje w sprawie emigracyjnej, jest środkiem straconym, skoro nie oddziaływa na same warstwy, dotknięte gorączką brazylijską; ma to takisam skutek, jak polewanie wodą dachu na jednym domu, gdy się pali drugi w przeciwległej ulicy.

„Kuryer codzienny“ zamieszcza bardzo zajmujące artykuły p. Nestorowicza o Brazylii i Argentynie. „Kuryer Warszawski“ wysłał Dygasińskiego do zbadania sprawy na miejscu i wkrótce zapewne zacznie zamieszczać wyczerpujące jego referaty w tym przedmiocie, ale ci, którzy to czytają i czytać będą, nie mają zamiaru emigrować, ich nie potrzeba przekonywać wymownymi argumentami, że najlepiej robią, siedząc na miejscu i nie puszczając się w awanturniczą podróż na drogą półkulę.

Tymczasem agenci brazylijscy chodzą po wsiach, kładą ludowi w uszy bajdy o krajach mlekiem, miodem i wódką płynących, rozrzucają pomiędzy łatwowiernych broszury, obrazki, listy, mapy sfalszowane, podbudzają wyobraźnię i grają na instynktach tłumu.

Rzez jasna, że w tych warunkach walka jest nierówną.

Zdaje mi się, że, znając naturę naszego wieśniaka, możnaby na niego w takich razach używać z powodzeniem środków psychologicznych; jego prosty umysł, zaczawszy choćby najlżejszą jaką wątpliwością, osłabia zaraz energią woli i stanowczości. Chłop nasz, kiedy przestaje wierzyć ślepo, staje się podejrzliwym i nie próbuje więcej ryzykować; gdyby zatem obok broszury agentów brazylijskich znalazł w swych rękach opis przystępny kraju i dziewiczej przyrody, z którą mu walczyć przyjdzie na obczyźnie, odstrasza przygody podróży i pobytu w owej Golkondzie; gdyby zobaczył obrazek, na którym przedstawionoby mu efektownie jego własną dolę wśród osad argentyńskich, pracę w koloniach, wyzysk plantatorów, gdyby wreszcie wróconych z drogi kilku rozbitek opowiadało w swojej okolicy losy i zawody swoje — niewątpliwie straciłby wiarę i zaufanie w owe pokusy, jakim dzisiaj, jednostronnie kierowany, ulega bez namysłu.

Mówię to na podstawie eksperymentu, jaki sam zrobiłem; miałem znajomego posłańca, który opętany był myślą o wyjeździe do Brazylii i wszystkie moje gołosłowne perswazy na nie się nie przydały.

Chwyciłem się tedy metody poglądowej, zacząłem mu pokazywać widoki puszczy amerykańskich, typy dzikich ludów z etnograficznego atlasu, zwierzęta drapieżne, małpy, węże, jaguary i krokodyle, wszystko, co najohydniejszego i najstraszniejszego znaleźć mogłem w zaatlantyckiej faunie, przeczytałem mu kilka ustępów z opisu Brazylii i Argentyny i z prawdziwym tryumfem zauważyłem, że to na nim sprawiło wrażenie skuteczniejsze od mojej wymowy.

— I to to takie bestye tam łażą po drogach? — pytał mnie zdziwiony i zakłopotany.

— A łażą, tylko nie po drogach, bo dróg tam niema; będziecie musieli sobie dopiero sami wyrąbywać ścieżki po lasach i skałach, o po takich, jak tu widzicie.

Podsunałem mu kilka obrazków z dzieła ilustrowanego o Ameryce; wpatrywał się, wpatrywał, głową kręcił i zadawał pytania coraz mniej śmiałe, a minę miał coraz bardziej zafrasowaną.

Przed dwoma tygodniami oświadczył mi sta-

nowczo, że się rozmyślił i „niech tam cholera jedzie na takie lasy i wertepy, bo człowiek-by zmarniał między temi dzikimi bestyami, gdzie ani oka spokojnie zmrzyć-by nie można, tylko ciągle z pałką lub fuzyą musiałby się obcierać poza siebie, czy go co pazurami nie *chyci*“.

— Trzeba już na miejscu biedować, — zakłudował w końcu, tylko prosił, żeby mu choć na obrazkudarować orangutanajeszcze co z tych żarłocznych dzików, z którymi musiałby był sąsiadować, wyjechawszy do Brazylii.

Metoda poglądowa ma swoją wielką użyteczność; zrozumiała to doskonale nowoczesna pedagogia i rozumiało Towarzystwo popierania przemysłu i handlu u nas, które, rzecz można, pierwszy praktyczny rezultat osiągnęło w swoim dotychczasowym działaniu, mogąc urzeczywistnić projekt założenia — Muzeum rzemiosłowego w Warszawie.

Od lat dwudziestu błąkała się ta myśl w różnych sferach, w różnych głowach, znajdowała akademicką dyskusję i teoretyczne poparcie, ale wcielić się jakoś nie mogła.

Pocieszmy się; znany filozof Kartezjusz jeszcze w roku 1660-ym nosił się z projektem publicznych odczytów dla rzemieślników i urzędników dla nich szkół przemysłowych i zbiorów odpowiednich, a dopiero w roku 1775 Voucanson spróbował projekt ten wykonać na jednym z przedmieść Paryża, na którym powstało słynne dzisiejsze konserwatorium paryskie, składające się z kilkunastu tysięcy okazów z dziedziny rzemiosł, przemysłu i rękodzielnictwa, oraz biblioteka specjalna złożona z kilkudziesięciu tomów.

W naszym wieku wszystkie niemal większe stolice i ogniska przemysłowe posiadają już swoje własne muzea; ostatnio zdobył się na nie Lwów i Kraków, a nareszcie przyszła kolej i na Warszawę.

Pod przewodnictwem p. Kiślańskiego odbyło się zeszłego piątku zgromadzenie stu kilkudziesięciu przedstawicieli wszystkie sfer finansowych, przemysłowych, handlowych, kupieckich, prassy etc. etc. i na tem zgromadzeniu położono faktyczne podwaliny nowej instytucji.

Pan przewidniczący, streściwszy pokrótce historią powstawania wszystkich znaczniejszych muzeów tego rodzaju w Europie, cel warszawskiego muzeum określił w następujących słowach:

„Jak Szanowni panowie widzą, głównem znaczeniem mającego się otworzyć Muzeum nie jest zadowolenie zwykłej ciekawości, lecz oświecanie, kształcenie i kierowanie rękodzielnika, rzemieślnika i przemysłowca.

„Chodzi tutaj o nadanie racjonalnego kierunku, o zainteresowanie producentów i konsumentów, o wyjaśnienie postępów technicznych na polu rozwoju rzemiosł i przemysłu, jak również o wykształcenie gustu, tak w celach ogólnej oświaty, jak również w czysto utylitarnym handlowym, dla zapewnienia większego zbytu naszym wyrobom, a temsamem polepszenia dobrobytu klas pracujących. O ważności tego zadania zdaje się nikt wątpić już nie może“...

Takie Muzeum będzie właściwie ciągle powiększającą się wystawą przeróżnych modeli maszyn, instrumentów, wyrobów rękodzielniczych, wzorów sztuki zastosowanej do przemysłu, z których rzemieślnik uczyć się może postępów techniki w swoim fachu, i zaprawiać swój gust, i wreszcie pobudzać swą pomysłowość w danym zakresie i kierunku.

Ta dobra i pożyteczna myśl byłaby już dawniej przyszła do skutku, gdyby jej nie było zawsze brakowało tej małej bagatelki, która się teraz znalazła, dzięki hojnej ofiarności jednego z członków Towarzystwa popierania przemysłu i handlu.

Pan Hipolit Wawelberg na utworzenie zbiorów muzealnych złożył pierwszy okaz, najtrudniejszy do zdobycia w postaci... 25.000 rs..

Pieniądze te użyte zostaną na zakupienie rozmaitych przedmiotów, maszyn, narzędzi, modeli, z których korzystać będą mogli bezpłatnie rzemieślnicy, kopiując je i naśladowując dla swego użytku.

Niewątpliwie zbiory powiększać się będą i dobrowolnymi ofiarami przemysłowców, fabrykantów, rękodzielników i okazami, które czasowo pomieszczone zostaną na wystawie Muzeum.

Widziałem już u tutejszego zegarmistrza p. Woronieckiego maszynę do wycinania kółek, którą właściciel, dbały o tego rodzaju instytucję, przeznaczył na pierwszą wieść do zbiorów muzealnych: jestem pewny, że za tym dobrym przykładem pójdą i inni, jak poszli za wnioskiem p. Kiślańskiego obecni członkowie piątkowego zgromadzenia, złożywszy na cele utrzymania i urzędu nową instytucji jednorazowo przeszło 4600 rs. pomiędzy któremi hojną ofiarę przeznaczył p. mecenas Rotwand w kwocie 3000.

Więcej takich Wawelbergów i Rotwandów, a Muzeum urośnie, jak ciasto na drożdżach i powoli zrówna się z zagranicznymi.

W chwili, gdy dostaniecie ten numer *Bluszczu* do rąk, przybędzie nam kilku laureatów w dziedzinie architektury i malarstwa, — w środę bowiem sędziowie specjaliści rozdadzą nagrody wystawcom konkursowym, których prace pomieszczone są obecnie na wystawie Towarzystwa Zachęty. Architekci zaimponowali nam ilością i jakością nadesłanych planów, których jest czterdzieści kilka, a między nimi wiele obchodzących bliżej samą Warszawę, jak: pp. Szyllera i Jabłońskiego projekt halli targowej, nowej biblioteki uniwersyteckiej, szkoły imienia Konarskiego, IV-go gimnazjum żeńskiego, p. Kluczewicza projekt sal uniwersalnych, p. Goldberga projekt bulwarów nad Wisłą, nadto wiele projektów domów dochodowych, kościołów, willi i t. p.

Konkurs malarski ilościowo i jakościowo wypadł mniej szczęśliwie: stanęło tylko ośmiu artystów, a pomiędzy tymi wyróżniają się jedynie Alchimowicz ze swoją „Mildą“, Styka z „Chrystem pod krzyżem“ i Piątkowski ze „Zwiastowaniem Naj. Pannie Maryi“.

Konkurs ten rozpisany był na uczenie jubileuszu Wojciecha Gersona, z nagrodą rs. 600. Przypuszczałem, że spośród jego licznych uczniów, którzy swemu mistrzowi zawdzięczają bardzo wiele z tego, co dziś umieją w sztuce, większy zastęp ubiegać się zechce o laury i o wcale pokazań sumkę, jak na te ciężkie czasy. Pomyliłem się z przykrością...

Pomiędzy architektami łatwiej będzie o kilku laureatów, którym „jury“ rozda, oprócz listów pochwalnych, trzy nagrody w kwocie rs. 600, 300 i 200.

Zobaczmy, jak się spiszą panowie malarze na rysowniczym konkursie „Tygodnika ilustrowanego“, którego termin odłożony został do 1-go lutego r. b.; może także nie będą mieli dość czasu, lub ochoty do pokuszenia się o 150 rs., za rysunek na jedną stronicę, oprócz zwykłego honorarium. Dziwnym-by to było objawem wobec utyskiwań naszej diatwy Apollina, że o zarobek trudno i że szuka chleba nie daje.

Dla komedyopisarzy otwiera się znowu arena turniejowa na pióra i pomysły: galicyjski wydział krajowy rozpiął konkurs dramatyczny z dwiema nagrodami; pierwsza wynosi 500, druga 250 guldenów, termin 30-go września r. b., wszystkie prawa własności zostawiane są autorom, rozstrzygnięcie konkursu najpóźniej na koniec Grudnia zapowiedziano.

Wyłączone są jedynie utwory, grane na jakiejkolwiek, chociażby tylko amatorskiej, scenie nie wypełniające całego wieczoru.

Pozostaje jednak jeszcze jedna dla piszących ważna kwestya, a mianowicie: jaki będzie skład komitetu sędziowskiego, i jeszcze jedna, niemniej ważna: czy którakolwiek ze scen subwencyonowanych zostanie zobowiązana do wystawienia nagrodzonych i odznaczonych utworów?

Widziałem już wielu laureatów, którzy w jednej ręce trzymając swój wieniec, a w drugiej rękopis uwieńczonego dzieła, nie wiedzieli sami, co mają z tym fantem począć.

Jeżeli konkursu dramatyczne rozpisywane są dla pożytku nie tylko samej literatury, ale i sceny, to niechże scena obowiązkowo z nich korzysta i niechaj od widzimisiej panów dyrektorów,

reżyserów lub artystów nie zależą dalsze losy nagrodzonych utworów.

I jeszcze jeden laureat, ale już z dziedziny rzeźbiarstwa, przybędzie w chwili, gdy weźmiecie to pismo do ręki; komitet konkursowy rozstrzygnie: czyj projekt posągu lub biustu Żółkowskiego i Królikowskiego, zasłuży na wykonanie w marmurze i ustawienie w nowo-przebudowanym foyer Teatru Wielkiego—na godną tych artystów pamiątkę?

W końcu tego miesiąca znajdzie się fundusz na podobne uczczenie pamięci Moniuszki—z inicjatywy Mierzwińskiego, który zjedzie do Warszawy, aby dać koncert na pomnik dla twórcy „Halki” i „Strasznego dworu.”

Zapowiedziane występy Modrzejewskiej rozpoczną się w dniu 9-go Lutego; znakomita artystka bawiła u nas kilka dni w celu porozumienia się osobiście z dyrekcją i obejrzenia letniego teatru, w którym zdecydowała się zagrać dziewięć razy a dziesiąty raz na swój własny benefis.

Od wieczoru pobierać będzie 300 rs.; podobno opuściła 200 z pierwotnego żądania, aby ułatwić w dzisiejszych warunkach dyrekcji zawarcie umowy.

O otwarciu wielkiego teatru jakoś ucichły zakulisowe pogłoski; roboty nie tak rychło dadzą się pokończyć, więc termin odsunięto na czas nieokreślony, skutkiem czego i gościna Reszków na warszawskiej scenie została znowu zakwestyjonowana. Znosi się na to, że chyba nigdy nie usłyszymy słynnych braci śpiewaków w ich rodzinem mieście, — chyba jako emerytów opery paryzkiej.

Dla dyletantów Melpomeny nakładem redakcyi „Echa” wyszedł spory tom jednoaktowych komedyi i monologów, które nader pożytecznie zasilają repertuar teatrów amatorskich; zebrano w nim utwory Bałuckiego, Kościelskiego, Fredry, Gomułickiego, Mellerowej, oprócz kilku tłumaczonych bluetek i zrobiono wydaniem tej obfitej wiązanki przysługę amatorom, dla których wybór łatwej i odpowiedniej sztuki a zwłaszcza wydostanie egzemplarza stanowiło zwykle trudność nielada.

Samo „Echo” rozsypało znów z nowym rokiem sporo kuszących premii dla swoich prenumeratorów, a w doborze artykułów postarało się o zajmującą rozmaitość, która nadała pismu niemało interessu.

Wogóle znać we wszystkich wydawnictwach peryodycznych staranną dążność do ożywienia się zarówno pod względem formy, jak i treści.

Nasza poważna prasa, począwszy od miesięczników, jak „Ateneum” i półwiekowa jubilatka „Biblioteka warszawska” rusza się, gromadzi zastęp najcelniejszych prac, ściągając najlepsze siły, byle tylko przywiązać, zająć i utrzymać swoich czytelników. „Przegląd tygodniowy”, ukończywszy dwadzieścia pięć lat swego istnienia, rozpoczął nowy okres wydawnictwa innowacyjną; zaczął zamieszczać ryciny, bez pretensyi do artystycznej ozdoby pisma, ale jako objaśnienia do artykułów.

Trzeba dziennikarstwu naszemu przyznać, że wedle możności stara się iść z postępem wielkiej prasy europejskiej, chociaż mu do zdążania z nią równym krokiem brak środków i zasiłków należytego rozwoju.

Idzie się naprzód, choć po grudzie.

\*

\*

\*

Medycyna nasza straciła jednego z najpoważniejszych i najzasłużeńszych swoich przedstawicieli; przed kilku dniami zaniesiono do grobu ś. p. Dr. *Wiktora Szokalskiego*, b. profesora byłej szkoły głównej, znakomitego oftalmologa, autora wielu dzieł naukowych, człowieka wielkiej zasługi, długoletniego sekretarza Towarzystwa lekarskiego.

Była to osobistość dobrze znana całej Warszawie; ów staruszek przygarbiony, o pięknej, siwej, pełnej wyrazu i charakteru głowie, cieszył się za życia wielką popularnością, czcią i sympatją wszystkich, którzy kiedykolwiek z nim w jakim-

kolwiek stosunku pozostawali. Autor „Fantazyjnych objawów zmysłowych” kształcił się zagranicą, długi czas praktykował we Francyi a wróciwszy do kraju, pracował nieustannie w zakresie naukowym i badał postępy wiedzy ogólnej, zarówno jak swojej specjalności. Na kilka miesięcy przed śmiercią jeszcze w Towarzystwie lekarskiem zdawał sprawę ze swoich badań nad postępem medycyny w ciągu ostatnich lat kilkudziesięciu; pozostawił po sobie pamiętniki spiswane niemal do ostatniej chwili, w których powinien się znaleźć ciekawy i poważny materiał ze względu na autora, który dużo mógł zachować wspomnień, dużo widział i dużo sam zdziałał.

Szokalskiemu należy się piękna karta w historii naszej medycyny.

Towarzystwo lekarskie postanowiło uczcić jego pamięć i zasługi wystawieniem pomnika na grobie i pomieszczeniem jego biustu w sali obrad.

Imię jego będzie wspomniane zawsze, gdy będą wspominać najzasłużeńszych i publicznego uznania godnych.

*Quis.*

## HRYWDA.

POWIEŚĆ

przez

Maryę Rodziewicz.

(Dalszy ciąg).

Chyliła się do ziemi przed każdym, młodym i starym, jakby Hrywdę całą prosiła o łaskawe, dobre przyjęcie.

Na dworze tymczasem noc się posłała. Wesełnicy wysypali się z chaty, zaczęły się śmiechy i dzikie skoki.

Korowodem poprowadzono państwa młodych do stodoły—i zamknęły się za nimi skrzypiące spazzone wierzeje.

Zresztą nikt o śnie nie pomyślał. Pito i tańczono i wielkie wrażenie sprawiło ukazanie się Oksentego Czyruka.

Przed nim rozstąpili się wszyscy. Sydor do komory go zaprosił, częstował, karmił, poił.

Chuda ta, czarna postać miała w sobie coś rzeczywiście przygnębiającego.

Zpod brwi ogromnych kołący wzrok szedł aż w duszę tego, na kim spoczął.

Poczęstunek przyjął, wypił i obejrzał się wkoło, do kogoby przepić.

Ten i ów bliższy cofał się i za plecy sąsiada się krył, a i Czyruk snadź nikogo godnego nie dojrzał, bo kieliszek odstawił, na ławie usiadłszy, zabawom się przyglądał.

— Kalenika naszego nie widać — rzekł do Sydora.

— Chory szelma leży.

— Czemuż do mnie nie przyszedł po radę?

— Pani jego w kuracją wzięła.

— Pani! — spluwając, znachor mruknął. — Są mocniejsi od pani.

Karpina Huc nieopodal stał, wódką i zabawą rozochocony. Dosłyszał i wnet za dwór swój kochany się ujął.

— Wiadomo! — rzekł, śmiało na Czyruka spoglądając — jest czort — mocniejszy! Ino, że jego nikt się nie boi, co rozum ma, taj z Bogiem trzyma.

— Mądry ty — młody Łaszek! — burknął Czyruk. — Bacz, byś prędko nie zgłupiał.

— Chyba mi wy *duru* dacie! — zuchwale parobek się odciął.

— Et, u bogatego jest i *dur* w zapasie.

— Kiedy to smaczne, a w komorze trzymacie, to obejrście, czy go wam wasz Tychon nie wyjadł do dna.

— Cyt-że, cyt! — zaczęto uspakajając chłopaka.

— Niech ta mi dworu nie zaczepiał!

Odciągnięto go na stronę.

— Na, weź skrzypce i graj!

— Graj, graj! — zaśmiał się wzgardliwie Czyruk. — Niedługo będziesz grał.

Karpina smyczkiem parę razy pociągnął, w tem pękła struna.

Naciągnął tę — pękła druga.

Zaklął, znowu narządził — znowu się porwała.

Tedy popatrzał na Czyruka, a za nim popatrza-  
li wszyscy, i nastała chwilowa cisza.

Znachor, w boki rozparty, zabobonny ten podziw przyjął jako część sobie należną. Przypadek usłużył mu wysmienicie. Karpina zląkł się i stracił rezon. Skrzypce odłożył i zamysłony pozostał.

Po chwili jednak wrodzona swawola wzięła górę i roześmiał się, zeskakując ze stołu.

— Niechaj i tak! — zawołał — mnie i owszem. Będę się wesośli!

Hannę w pół porwał i puścił się w tan, różne figle dokazując.

Przez drzwi i okna poczęła ranna jasność zaglądać, i nagle rzeszy rozbawionej družba przypomniał pieśnią nowożeńców.

Wziął Klim wody wiadro, Kiryk misę jajecznicę, Dudarycha pierog i ruszyli do stodoły.

Rzucili się za nimi wszyscy, śpiewając:

Kukała kukulka na stodołę,  
Budziła Tatianę w stodołę:  
Wstawaj, Tatiano, długo spis!  
Czem teścia swego podarzysz?  
Co tobie, kukułko, do tego?  
Jest u mnie ojciec dla tego  
Czego nie będzie — dobędzie,  
Czego nie stanie — dostanie.

Zrzuciła tedy Tatiana swe szatki weselne i wianek. Włożyła „andarak” krasny i śnieżną namitkę.

Spożywano jajecznicę, ale młodzi swej części nie tknęli, oddali wedle obyczaju dzieciom, więc Sak i Mokrenia dostąpili także współdzielału w uroczystości.

Gdy korowod ruszył do chaty, dziatwy zebrało się dużo i cisnął się ten drobiazg do Tatiany, do rąk jej zazierając i kułakując się ile sił.

Już jako gospodyni weszła młodyca do chaty, zasała obrusami stoły, ustawiła na nich sery i pierogi, a potem, wśród dziatwy stojąc, rozdała im swe stroje dziewczęce: paciorki różnobarwne, wstążki, jaskrawe paski, medaliki mosiężne, pierścionki. Na piersi jej została tylko odrobina czerwonej „zaścieżki”, — na ręce świeża bielona obrączka.

Dziobata jej brzydka twarz promieniała jednak szczęściem, bo i pieśń jej śpiewano otuchy pełną:

Nie bój się, Tatiano, nie bój,  
W żółte trzewiczki się obuj,  
I depcz wrogi — pod nogi!

I rodzina jej przyjechała z darami, ze śpiewem, z powitaniem.

Znowu posadzono ich za stołem i darzono dobytkiem i pieniędzmi.

Teraz Hrywda rzuciła nowożeńcowi na korowaj zapomogę groszową, za całe morze wódki wypitej — i za uciechę.

Potem młodzież dokazywać zaczęła. Družba oprowadził pannę młodą wokoło zasłanego stołu po trzykroć, oprowadził ją Kiryk, za ręcznik wiodąc, aż mu się wyrwała i uciekła.

Tedy wniesiono bronę i rozciągnięto na niej Kiryka, i bito powróżkami ze słomy, karząc za niedopilnowanie młodycy.

Zabawa to niby była, ale chłopiec nogami kopał i kłął, a sędziowie często zamiast słomy używali pięści.

Ze śmiechów i grubych żartów przechodzono do wrzasków i połażanek, aż poki się Kiryk nie wyrwał, spocony, czerwony, w roztarganej odzieży.

Skoczył do chaty i wnet wyprowadził do Sacharka straszdydo w namitce i spodnicy, ale brodate i brudne, dziada pijanego.

— Na tobie twoją żonkę! — wołał.

Pan młody odskoczył wśród huraganu śmiechu, a mniemaną babę bić poczęto i targać na wsze strony.

Wreszcie odnaleziono Tatianę i w tryumfie odprowadzono Sacharkowi.

Z rąk Dudarychy wzięła wiadro, zakasała rękawy i andarak, zabierała się do pierwszej w nowym domu roboty.

Jeszcze jej zaśpiewano do tej pracy:

We Wtorek rano  
Pięknie morze grało,  
Tatiana wodę brała,  
Na kraj swój spoglądała,  
Zobaczyła gąsek rząd,  
Lecących na tamten ład.  
Gąski moje, labędzice,  
Witajcie moje rodzice.  
Powiedzcie, niech zbędą tęsknoty,  
Bo ja tu z milej ochoty.  
Jak pszczołe miód pić,  
Mnie tutaj miło żyć!

Doszła Tatiana do studni, rzuciła w nią pieńdz i chleba kawałek, przeżegnała się i wyciągnęła wiadro wody.

Za nią Sacharko stał, nie pomagał, ino bicz długi trzymał.

— Mój sokoliku, — zaczęła prosić, — nie krzywdźże mnie!

— Nie, to uciekaj! — zaśmiał się grubijańsko. Porwała za wiadro i umykała wedle obyczaju, a on ją niby gonił, biczem wymachując. Już dobiegała do progu, gdy mu dzika swawola przysłała do głowy, i bicz z gwizdem opuścił na jej plecy, koszulę tylko zakryte. Krzyknęła, potknęła się na progu i woda się przelała, a wszyscy wybuchnęli wielkim śmiechem z konceptu tego.

Jak pszczołe miód pić,  
Mnie tutaj miło żyć. —

Zawodziły podpiłe kumoszki.

Tatiana postawiła wodę na zwykłym miejscu, otarła fartuchem twarz z potu, a może i łez.

Wesele dobiegało kresu, rodzina jej już odjeżdżała, wśród obcych ludzi zostawiano ją samą.

Pod wieczór przystąpiono do ostatniej ceremonii, dzielenia korowaja.

Dzielił marszałek weselny i rozdawał po cząstce rodzinie.

Opadły z tego symbolicznego ciasta wieńce z barwinku i ruty, krasne nici, umajone patyki, jak opadły liście z Tatiany ślubnego wieńca, jak zginęły jej warkocze. Rodzina brała ciasto do chustek i niosła do domu, błogosławiąc i na stół kładąc namitki i miedziaki, aż wreszcie z korowaja nic nie zostało, jak nie zostało nic z jadła w komorze, wódki w beczce, muzyki, swawoli, śmiechów — i całego dwutygodniowego wesela.

Noc była i ucichło wszystko w chacie Hubeniów.

Sydor, pijany dołbez-pamięci, tarzał się po piecu, stękając, Sacharko zmordowany legł na pieczykach żony w komorze, Hanna znikła wraz z muzyką, dzieci zbierały pod łamami resztki z korowaja, Kiryk na nocleg klacz wyprowadził. Tatiana wyszła na podwórze, srebrne od księżycy, i zapłakała nareszcie w spokoju.

Bielala na czarnem tle sieni, a naprzeciw niej zabielał po chwili wysoki cień człowieka.

Szedł ku niej, więc się przelekła i krzyknęła, ale wnet ją spokojny, powolny głos uspokoił:

— To ja, Kalenik. Ty czemu nie śpisz?

— Nie chce się. Tak-by do Zamoroczenia chętnie pobiegła!

— Ot głupia dumka! To tak, żeś się rozhulała przez te dwa tygodnie. Staniesz do roboty, to zbędziesz nudy!

Mówił spokojnie, pobłaźliwie. Przypatrzyła mu się z uwagą.

— Ty dobry i cichy musisz być!

— Swarzyć się nie lubię.

— Z tobą mnie dobrze będzie.

— Czemu nie! Byłeś jeść na porę dała, to

i pomogę, kiedy będzie trzeba. Bez baby źle było w chacie.

— A ty czemu mnie nie wziął?

— Szuchta (febra) mnie zjadła. Na jesień odłożyli moje wesele.

— Szkoda! — szepnęła, spoglądając po nim. Trzymał w ręku powróż i bicz, ale zdawało się jej, że nie biłby dla swawoli.

— To ty i nie weselił się?

— A nie. Ledwie mnie pani odratowała.

— Spać idziesz?

— A cóż? — Woły napasłem, to się przyłożę do świtu.

Weszli do chaty.

Parobek lulkę zatlił i, ścieląc sobie siermięgę na ławie, pacierze w półsennie mrucał. Kobieta ociągała się z odejściem.

— Szmat u was lnu nasieli? — spytała.

— Dziesięć garncey.

— Moja dola, tak mało! A czemże ja was, tyle dusz, obszyję?

— Ta myśl pierwej, jak go dopatrzysz.

— A owieć dużo macie?

— Siedmioro.

— Małol! To i na pasy wełny nie wystarczy, a tu wam sześć siermięg trzeba na zimę. — Zadumała się przy piecu. On legł, ale, nim zasnął, jeszcze dopowiedział:

— Jutro tobie kartofle osypywać trzeba, bo już zbują, a i chleba sporo napiecz, bo z Niedzieli na siano pojedziemy!

— Moja dola, moja dola! — zastękała młoda kobieta.

Daleko, aż het, do śmierci leżała przed nią czarna, niewdzięczna — ta dola.

## Czerwiec.

Z Hrywdy codzien ubywało ludzi. Młodych parobków wcale już widać nie było, niknęły kobiety zdrowe, dziewczęta; nawet psów slychać nie było.

Na ulicy tylko baby stare zostały, na polach dziady niedołężne, w karczmie wieczorem tylko pijaki z professyi, a nocą z pastwisk ściągaly się dzieci małe.

Napróżno do chat codzien kołatał Kornilo Huc, na robotę do dworu wołając.

Pozostali przyjmowali go drwinami.

— Możemy i ciebie, i twego pana do siebie nając, bo i nam, nie grosza, ale rąk braknie.

Tak mu odpowiedział Sacharko Hubenia pewnego ranka.

— Pojechali już twoi?

— Dzisiaj w nocy.

— To i babę twój zabrali?

— Nie. Łucysię Makuszanki zgodzili. Byli Hanę przyhołubili, ale szelma uciekła. Niechno się na jesieni pokaże!

Odszedł klnąc, a Kornilo swą ścieżką do dworu poszedł, a zanim ruszyli jego wszyscy z chaty.

Tak, i Hubeniów chata opustoszała.

Wybierali się teje nocy, i rwetes panował okropny.

Na wóz zładował Kalenik chleb i kosyworeczek z jądłem, garnek i dzbanek na wodę, zatknął w półkoszek siekiere, grabie, widły, i wór sieczki dla klaczy.

Na sieczce tej położył się Sydor i Kiryk, a parobek uczeplił się drabiny i, pół siedząc, pół stojąc, wyjechał na ulicę.

Nawoływali czas jakiś do Sacharka, różne mu polecenia dając; on do nich krzyczał, przypominając, by lyk na postoly nadarli; Tatiana zalecała, by garnka nie stracili; Kiryk jej piskliwy głos przedrzeźniał, a wreszcie oddalenie przerwało rozmowę.

Zatrzymali się przy chacie Makuszanki i Kalenik po Łucysię wstąpił.

Gotowa już była do drogi. Matka ją odprowadziła do wozu, dała węzełek szmat i strawy, poleciała Sydorowi.

— Kumie, sokole! Nie ciągnijcie z niej pracy nad siły, bo zapamiętała bez miary. A jakby febrę dostała, to jej tam na mękę nie trzymajcie.

Ostatnie to moje i jedyne. Tak wam oddaję, jak oko z głowy.

— Dosyć gadać! Nic się jej nie stanie, — burknął zaspany Sydor.

— I chłopcom nie dajcie jej skrzywdzić, nie dajcie przekpiwać!

— Ty głupia, albo to mnie ojciec dopilnuje? — zaśmiał się Kiryk. — Tak jej wezmę i kosą nogi podetnę.

Łucysia cichutko ulokowała się na przodzie wozu, u kolan Kalenika, a on jej nieznacznie kożuch swój podesłał.

Ona się niczego i nikogo przy nim nie bała.

— Ostańcie zdrowi, matko — rzekła.

— Szczęśliwie, doniu, szczęśliwie! — płacząc, zawołała stara, i do Kalenika się zwróciła:

— Sokoliku, a nie hańbujcie nią!

— Bądźcie spokojni. Nijaka się jej krzywda nie stanie. Zdrową odwożę! Na dobranoc wam!

Wóz ruszył. Kiryk wnet zaczął dziewczynę nogami kopać, ale Kalenik się nasrożył.

— Porzuć! — groźnie i lakonicznie krzyknął. — Sydor już spał, szkolnik uczynił tożsamo. Jechali nocą cichą i jasną i nie gadali do siebie. Parobek niedbale trzymał lejce i machinalnie biczem krzaki przydrożne smagał, zapatrzony przed siebie; dziewczyna, oparta o jego kolana, zasypiała pomimo trzęsienia wozu.

Coraz ciężiej wspierała się na nim, coraz śmielej, aż nareszcie głowę odrzuciła bezwładnie, i oddychała równo i cicho, we śnie bezpieczna.

Parę razy spojrzął na nią. Opadła jej chustka z głowy i złote włosy odsłonięte muskał i gładził wiatr.

Jemu jakoś tak dobrze było, jakby trzy doby próżnował, spał i słodką wódkę pił, i słoninę łyżką jadł.

Zapalił fajkę i zeicha podśpiewywał.

Droga umykała z przed nich, a on w ciężkiej swej głowie rachował czas, co go dzielił od jesieni.

Rachował i rachował, ale do ładu dojść nie mógł, więc dziewczynę trącił.

— Czuj, Łucysia! wiesz ty, ile mamy do Piotra Niedzieli? — spytał.

— Będzie cztery — odparła, oprzytomniawszy.

— A od Piotra do Spasa?

— Oj pewnie ze sześć!

— A potem do Splenia tydzień.

— Co ty rachujesz? — zagađnęła zdziwiona.

— Ile Niedzieli do Bogosława!

Zarumieniła się radośnie, a on, nie patrząc na nią, dopowiedział półgłosem:

— Bogosław — swaty rozesłał.

— Jeszcze szmat czasu, szmat! — szepnęła.

— I szmat roboty.

I znowu umilkli. Ona poczęła myśleć, że bodnie jej jeszcze nie pełne, i że wstyd mieć będzie ze swą mizerną chudobą przy dostatkach Tatiany; on się zmarkocił myślą, że wesele Sacharka opróżniło zapasy i grosze; że dużo, dużo potu trzeba i mozołów, zanim zbierze kilkadziesiąt rubli na swoje gody.

Tak sobie plan snuł. Sacharka zostawi przy domu, a sam na zarobki się rzuci. Do dworu z kosą, do lasu z siekiereą.

Teraz żałował, że się wiosną na „flis“ nie zgodził, ale się lekkał daleko odchodzić.

Trus był zawsze.

Łucysię nowe skrupuły opadły.

— Swarliwa, powiadają, wasza Tatiana — rzekła.

— At! jak wszelka baba. Nie dośpi, nie doje przy robocie, to i krzyczy! Jak Sacharko raz, drugi obje, to tę ryzykę straci.

— Nie bił jeszcze? — zdziwiła się.

— Nie. Z początku łaską i dobrocią! Wczoraj nawet, jak Mokrenię oparzyła, a ojciec począł łajać, to na ojca się wyzwierzył. Tymczasem spokojnie.

— Ona będzie silniejsza ode mnie!

— To co? Ciebie nie zagabnie, bo jej nadto samej ciężko! Będzie ciebie szanowała!

— Taki mi strach!

— Czego? Plecy moje szerokie. Zakryję ciebie, i takiego, Boh me, ubiję, ktoby cię zagabnął.

Przez księżyc przemykały chmurki małe jak białe gołębie; wjechali na most wysoki nad rzeką, ujętą z obu stron gołbami.

Kalenik biczyskiem naprawo wskazał.

— Ot i Perechreście! — rzekł.

— Wielkie ono.

— Cały świat. Końca ja nigdy nie widział.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## O WSPÓLUDZIALE KOBIEC

W MIĘDZYNARODOWYCH KONGRESSACH WIĘZIENNYCH.

przez

Alexandra Moldenhawera.

(Dalszy ciąg).

P. Amitzböll, dyrektor jednego z więzień duńskich (w Vridsløselise), i professor uniwersytetu petersburskiego p. Taganzoff, odrzucając przypuszczenie istnienia niepoprawnych, przyznają jednocześnie, że pośród przestępców znajdują się jednostki, które nie poddają się poprawie, a ztąd *niepoprawieni*, ale nie *niepoprawni*. Taganzoff przytacza cały szereg rozumowań, na podstawie których, ani dane liczby statystyczne, ani znamiona „przestępcy z urodzenia“, nie dowodzą jeszcze bynajmniej istnienia niepoprawnych przestępców. „Nie można uznać za niepoprawnego tego, kogo, być może, tylko nie umiano, albo nawet nie chciano, poprawić. Któż zresztą poważy się na przestępcy wycisnąć owo piętno niestarte Kaina?“<sup>4)</sup> Przeciwno istnieniu przestępców niepoprawnych oświadczyli się: professor włoski Gramantieri, adwokat z Odessy Wahowicz i głośny prof. niegdyś uniwersytetu w Petersburgu, a obecnie niemniej głośny adwokat tamtejszy, p. Spasowicz. Gramantieri utożsamia niepoprawność z recydywą, gdy jednak na tę ostatnią, jego zdaniem, oprócz właściwości indywidualnych, wpływają nadto okoliczności otaczające człowieka, stosunki społeczne i polityczne, przeto, oddziaływając na nie, poprawiając je, — temsamem możemy regulować, to jest zmniejszać, liczbę recydyw, czyli tak zwanych niepoprawnych. Krótki, ale ciekawy i oryginalny raport włoskiego uczonego, zawiera kilka śmiałych myśli, kilka charakterystycznych i zajmujących poglądów; przytaczam tutaj jeden: „Niewątpliwie w temperamencie sangwinicznym spotykamy wogóle brak ideału, wraz z nadmiarem zmysłowości, brak rozwagi i gwałtowność — wady, które popychają do występku. Ale nie należy zapominać, że równoległe biegnie z tą stroną negacyjną, ujemną i pozytywna, dodatnia, szlachetna, jak siła imaginacji i prawość duszy. W rocznikach wojskowości spotykamy z takim charakterem i usposobieniem marszałka Ney, w rocznikach umysłowości — Ariosta. W temperamencie żółciowym znajdziemy skłonność do nienawiści, zawierającą zarodki największych zbrodni, i w przeciwieństwie z tem — popęd potężny do szlachetnych i podniosłych ambicji i pożądań. Tutaj należą: Dante, Michał Anioł, Wiktor Alfieri, Napoleon. W temperamencie melancholijnym odkrywamy dążności przeciwspółeczne, skłonność do samobójstwa: a przeciwieścieżki przebyte przez melancholików zasiane są kwieciami miłości, piękna moralnego, pięknotworów sztuki plastycznej i poezji! Do tej kategorii zaliczyć można Tassa i Canovę, Leopardiego i Manzoni'ego“.

4) Do tej kategorii zaliczyć wypada i p. Concepcion Arenal.

(P. A.)

P. Spasowicz przedewszystkiem zauważył, iż dotąd jeszcze nie ustalono znamion niewątpliwych typu przestępcy niepoprawnego; przyznał wszakże, iż po najdokładniejszym ulepszeniu systemu karnego w kierunku poprawczym pozostań jeszcze grube męty jednostek niepoprawnych. Stosowanie względem nich zalecanej przez nową szkołę metody wyosobniania, wydalenia (*élimination*) ze społeczeństwa okaże się nadal trudnym do przeprowadzenia. Najpierw przeszkadzać będzie kara śmierci, jako jedyny i radykalny środek usunięcia niepoprawnego ze społeczeństwa; a potem trudno będzie radzić sobie z rozlicznymi zasadniczymi typami przestępców, z których jedni działają zapomocą gwałtu, inni podstępem, jedni są mordercami, inni tylko złodziejami, i t. p.

Sekcja wyznaczona do roztrząśnienia niepoprawności wysłuchała sprawozdania ułożonego przez p. Spasowicza, który za podstawę swych wywodów przyjął ten fakt logiczny, że wszelkie przypuszczenia (*presumpcyje*) są poniekąd tylko wybiegiem i wyminieniem prawdy; że więc należy unikać wszelkich domniemań, nie zaś wprowadzać do nauki nowe. W konkretnym wypadku przeciwko domniemaniu niepoprawności przemawia to: iż 1-o jest ona przeciwną poczuć i pojęciem zarówno religii, jak humanizmu i 2-o że niepodobna sprawy tej rozstrzygać jednostajnie według jednej modły, z powodu obfitego ustopniowania samych zjawisk życia.

Rozprawy, tak w łonie sekcji, jak i na ogólnym zebraniu, trwały po dwa dni, co przy pośpiechu i zwężności, z jaką je prowadzono, było już wyjątkowym. Świadczy to o ważności, a nawet drażliwości kwestyi i zajęciu się nią ogólnem. P. P. Acimena, Prinz i Leveillé przyznali istnienie przestępców niepoprawnych a niepoprawność radzili oceniać i określać na podstawie pojęć o recydywie. — Przeczącą odpowiedź dawali pp. Spasowicz, Nocito, Starke i Skuzes, sprawozdawca na posiedzeniu ogólnem. Szczególnym ogniem zapału i gorącem przeświadczeniem odznaczało się przemówienie bijające teorią niepoprawności, p. Stevens'a, znanego i zasłużonego w sprawie więzień teoretyka zarazem i praktyka. Zakończył on mowę swoją następującą apostrofą: „Kryterium recydywy bynajmniej nie dowodzi jeszcze niepoprawności. Człowiek powraca do więzienia, gdyż nie ma się gdzie podziąć. Nie bądźcie więc bez miłosierdzia, nie domagajcie się kar dożywotnich. Nie oddawajcie do więzień na krótkie terminy... Trzeba karać recydywistów surowiej, ale nie dożywotnio. Trzeba dać im czas przejścia z więzienia do pracy. Wówczas będziemy litościwymi“.

Zpóśród stronników teorii niepoprawności, przemawiających w sekcji, wyróżnić wypada p. Prinza. Twierdzi on, że nauka winna uznać istnienie niepoprawnych. Współczesne więzienie jest więzieniem ulepszonym, a niemniej przeto recydywy w niem ustawicznie mnożą się i liczba ich wzrasta. Istnienie we wszystkich prawodawstwach kar dożywotnich stwierdza poniekąd niepoprawność pewnych przestępców.

W poparciu swych dowodów mówca powołał się na fakta z praktyki sądowej belgijskiej. Częstokroć tutaj świadkowie, przerażeni i nastraszeni przez pewne jednostki przestępców (niepoprawnych, zatwardziałych), odmawiają swej pomocy wymiarowi sprawiedliwości, w obawie pomsty ze strony winnego. Niepoprawni pozbawieni są możności przebywania w społeczeństwie i zastosowywania się do warunków społecznego bytu. Faktów podobnych trudno zaprzeczyć. Takich niepoprawnych mówca nazywa moralnymi paralytykami. Nie należy im zadawać cierpień, ale usunąć ich z widowni życia. Potrzeba rozróżniać ludzi ciągle, nieustannie poczynających od nigdy nie zaczynających (wykraczać). „Trzeba“ zakończył on, jakby w odpowiedzi na mowę Stevensa, „miłosierdzia, ale także i sprawiedliwości“.

Pomiędzy przeciwnymi, wojującymi obozami, jako pojednawca stron wrogich, wystąpił Herbert. Niema *niepoprawnych*, konkludował, są *niepoprawieni*. Nie można człowiekowi, dopóki

żyje, mówić, że już umarł! — Państwa powinnyby dojsć do porozumienia się względem sposobów oddziaływania na opornych i niepoddających się poprawie. Przedewszystkiem w miejsce określenia *niepoprawny* wypada wprowadzić *niepoprawiony*, a przeto samo wyłaczyć już *niepoprawność* z szeregu pojęć kryminalistycznych.

Oprócz wymienionych powyżej, zabierali jeszcze głos: Blanc (Francya), Fojnicki, Salomon, Pustorostow (Rosyja) i Brusa (Włochy). Sekcja wybrała osobną kommissyą, której sprawozdawcą został p. Spasowicz. Na wniosek jej przyjęto następującą rezolucyą: „Sekcja nie sądzi, aby można było w prawie karnem (w przepisach kodeksu czy też w wyrokach Trybunału) uznawać istnienie kategorii *skazanych niepoprawnych*, czy-to jako podstawę dla wymiaru kary, obowiązującej sędziego, czy też jako domniemanie, które w każdym pojedynczym wypadku należałoby pozostawić uznaniu sędziego. Ponieważ i ogólne zebranie pod prezydencją p. Gros (Dania) nie zdołało ustalić sobie ostatecznego poglądu, wybrano więc podkommissyą“. Jeden z jej członków, Brusa, przedstawił projekt nieco odmiennej rezolucyi, ale go nie uchwalono, odkładając ostateczne rozstrzygnięcie do następnego ogólnego zebrania. Na niem dopiero p. Skuzes (Greycya), jako referent owej podkommissyi, przedstawił inną propozycyą. Brusa raz jeszcze wniósł do niej poprawkę, żądając orzeczenia, że środki, mające się przedsiębrać względem niepoprawnych, mają charakter, nie kryminalny, ale i policyjny, i że termin określenia podobnych jednostek winien być ściśle określonym. W odpowiedzi na to p. Spasowicz zauważył i wyjaśnił, iż sekcja w rezolucyi swojej wskazała środki te jedynie w formie przykładu, bynajmniej nie ograniczającej i ścieśniającej. Po wyjaśnieniu takim ogólne zebranie kongresu, znowu nie jednogłośnie (jak w wielu poprzednich kwestyach), ale tylko większością głosów, przyjęło taką rezolucyą: „Nie przyznając, w zasadzie istnienia (z punktu widzenia prawa karnego i nauki penitencyarnej) przestępców lub zbrodniarzy bezwarunkowo niepoprawnych, z uwagi jednak, iż doświadczenie przekonywa o istnieniu jednostek nie ulegających tym podwójnym wpływom, karnym i penitencyarnym, powracających nałogowo i jakby profesjonalnie do gwałcenia praw społecznych, — należałoby względem tychże używać środków specjalnych. Z tego powodu, nie przesądzając sposobów oddziaływania rozmaitych prawodawstw i pozostawiając każdemu z nich swobodę wyboru tych środków, jakie lepiej odpowiadają warunkom danej narodowości, sekcya, w rodzaju przykładu, projektuje następujące środki: a) zamknięcie na wystarczający przeciąg czasu w zakładach poprawczych lub domach pracy (roboczych) osób pewnych kategorii, jak np. niepoprawnych żebraków, włóczęgów, i t. p. b) długoterminowe zamknięcie podobnych indywiduów, lub zesłanie ich z przymusowymi pracami, lecz bez szczególnego obciążenia nimi i z pozostawioną możliwością pozyskania zupełnej wolności przez dobre prowadzenie się, a to na podstawie warunkowego uwolnienia“.

Takim więc sposobem kongres odrzucił opinią, że istnieją przestępcy *niepoprawni*, przyznając przecież z drugiej strony z należytą oględnością i stosownie do stwierdzonego przez życie doświadczenia, że istnieją przestępcy *niepoprawieni*. Rezolucya ta pogodziła poważnione i wrogie obozy, była zadośuczynieniem dla jednych i dla drugich, chociaż wyznać muszę, iż ogólnikowością swojej formy, brakiem w niej stanowczości, i widoczną chęcią oszczędzania przeciwnych a sprzecznych poglądów nie zadowolniła wszystkich, mianowicie zaś skrajnych zwolenników i wyznawców teorii niepoprawności. — Ze zaś i bardziej umiarkowani, i stojący niejako w pośrodku, nie zostali nią zbudowani, świadczy o tem niedawno otrzymany przezemnie list pani Arenal. Z wrażliwością iście kobiecą i przytaczając złowrogi wykrzyk: *Vae victis*, użala się ona na porażkę, chociaż ta, wobec oględnych postaw wieh kongressu, właściwie za porażkę uważaną być nie może, bo owszem nietylko wiele z poglądów zacnej autorki znalazło odgłos w dyskusjach kongresu, ale, co więcej, w ostatecznej nawet

jego rezolucji zostało uwzględnionem i ślad swój zaznaczyło.

(Dokończenie nastąpi).

## Ze znalezionych kartek.

Dnia 6-go Listopada.

Nad szarą, pooraną rolą, w mglistem, chmurnem powietrzu, unosiły się stada wron, kruków i kawek i zawodziły złowróżbny pogrzebowy płacz.

Tak mnie żegnał mój kraj, gdy wywożona na południe pytałam siebie i tych czarnych ptaków: „Czy wrócę tu kiedy?”

„Nie, nie!” — odkrakiwały ptaki. „Nie, nie!” — dzwoniło w chmurach.

Przejechałam w wagonie dwa dni i jedną noc, i znikły mgły, znikły drzewa bezlistne i martwe pola, jesień się w wiosnę zmieniła.

Wjechaliśmy w kraj ciepły, zielony, słoneczny. W tym kraju ja się czuję samotniejszą, niż tam.

Nie podzielałam wiary ojca w cudowne skutki łagodnego klimatu. Nie spodziewam się odzyskać tu zdrowia.

Biedny mój ojciec, ty wszystko gotów jesteś zrobić, byle dziecku twemu iskierkę życia zachować! Daremne to podobno usiłowania.

Ale mniejsza o to, porzućmy te myśli.

Dla Wandy ta podróż zagranicę, to spełnienie najulubieńszych marzeń. Wszystko ją zacięka, a każda rzecz piękną zachwyca. Ja nie umiem cieszyć się tak niczem.

Spiewa od rana do wieczora, stroi się w kwiaty, których tu takie mnóstwo, wesołością swoją ojca, a czasem nawet i mnie, rozchmurzyć potrafi.

Czem byłby nasz dom, gdyby w nim nie rozlegał się od czasu do czasu jej śmiech srebrzysty.

Odkąd jest u nas, to znaczy od dwóch lat, nie widziałam jej nigdy zadąsaną lub gniewną.

Nazywam ją pogodą. To imię tak przystoi mojej przybranej siostrzyczce.

Ja dla niej nieraz nudną jestem bardzo, czuję to dobrze. Ona moje kaprysy znosi z łagodnością i słodyczą nieopisaną i oburzyłyby się zapewne, gdyby mnie kto w jej obecności kapryśną nazwał.

Tem przywiązaniem do mnie, tą wesołością, zyskała sobie serce mego ojca. Teraz rządzi nim w zupełności. Gdy mu się uśmiechnie i powie, przymrużywszy oczy: „Wuju kochany, zrób to dla mnie”, to niema rzeczy, którejby jej ojciec mógł odmówić.

Nie jestem o ten wpływ zazdrosną. Pojmuję to dobrze, że taka urocza istota więcej serce do siebie pociągnąć może, niż schorzałe i nudne stworzenie, jakim ja jestem. Wiem np., że służba u nas szanowała mnie, ale ją kochała serdecznie. To trudno; ona domu naszego jest słońcem i życiem, a ja smutkiem i mgłą.

Dnia 7-go Listopada.

Willa nasza jest dosyć samotna, ale najładniejsza ze wszystkich, jakie tu dotychczas widziałam. Najpierw leży na wzgórzu, a to w oczach moich wielka zaleta. Wdzięczna jestem ojcu, że ten domek, a nie inny, wybrał na nasze chwilowe schronienie. Zresztą, gdybym była zdrową, nie byłoby chyba dla mnie miłszego pobytu, niż nad tem morzem błękitnym. Nie dziwię się też, że Wandzi takie skrzydła urosły.

Ale ona nie zadawała się samymi pięknosciami przyrody. Człowiek zajmuje ją bardzo. Z widzenia zna już wszystkich naszych bliźszych sąsiadów i — co dziwniejsza — umiała, nie wiem jakim sposobem, zasięgnąć wiadomości o każdym nich.

Opowiada mi cuda o piękności jakiejś młodej Angielki, lady Duglas, która tu przebywa sama z pięcioletnim swoim synkiem. Dziecko podobno jak Cherubin wygląda, ale delikatne, słabowite. Zalecono mu ciepły klimat i matka dla niego tutaj osiadła.

Cudzoziemców tu wogóle bardzo wielu. Najbliższymi naszymi sąsiadami są jednakże Francuzi. Mieszkają w domku, położonym u stóp wzgórza, którego wierzchołek zajmujemy my. Jest to młode małżeństwo z Paryża. Widuję ich codzień, gdy przechodzą pod naszymi oknami. On — poważny, przystojny mężczyzna, brunet z dużą brodą. Nazywa się podobno baron de Beauremont. Ona — nieładna, ale ma przymioty Francuzki: żywość i szczebiotliwość. Jej uśmiech nieustanny, małe usteczka, które się nigdy nie zamykają, powiadają mi, że to kobieta pusta i szczęśliwa. Ze wszystkich kobiet tej ziemi najmniej lubię Francuzki. Żal mi mężczyzn, którzy do tych motylów przywiązują swe życie.

Jest tu i Niemiec, uczony doktor podobno. Ułomny trochę, stary kawaler, czy wdowiec, ze spiczastym nosem i złośliwymi, ale rozumnymi, oczami. Widziałam go wczoraj na spacerze, twarz ta zainteresowała mnie. Jedyną jej piękność stanowi czoło wyniosłe, spokojne, czoło mędrca.

Mówiła mi Wanda jeszcze o wielu Włochach, Anglikach, Żydach i Amerykanach i t. d. Ale ta masa szczegółów poplątała się w moim umyśle. Nie wiem teraz, do kogo się która wiadomość odnosi.

Zresztą mało mnie wszyscy ci ludzie obchodzą. Prawdopodobnie nie będziemy mieli z nimi żadnych stosunków.

Dnia 10-go Listopada.

Jaki daleki odbyłam dziś spacer! i doprawdy nie czułam znużenia. Ze zdziwieniem spostrzegam, że zdrowie moje się polepsza.

Czytam niewymowną z tego powodu radość w oczach mego ojca. On-to w swej wielkiej dla mnie miłości ułożył projekt tego wyjazdu na południe. Ja mu się opierałam, lekarz radził nie sprzeciwiać się mej woli, nie wierzył zapewne sam w błogosławione skutki tej podróży; ale ojciec uchwycił się jej, jak ostatniej deski ocalenia, i mimo prośb moich nie zostawił mnie na zimę pod naszym szarem, mglistym niebem.

Dobrze mi tutaj. Spokojniejsza jestem i zdrowsza. Tobie to, mój ojciec kochany, zawdzięczam.

Dnia 13 Listopada.

Otóż i zrobiliśmy pierwszą znajomość, najmniej spodziewaną, bo właśnie z owym garbatym Faustem niemieckim.

Proszę sobie wystawić moje zdziwienie, gdy ujrzałam wczoraj ojca, wchodzącego do salonu pod rękę z tym panem. Przedstawiono nam go i w kilku słowach opowiedziano dzieje pierwszego spotkania. Jest to professor z Getyngi, doktor Werner. Ulubionem miejscem jego przechadzek tutaj jest brzeg głębokiego parowu, obrośnięty krzewami dzikich róż, jaśminów, bzów, nad którymi schylają swe gałęzie drzewa oliwne i pomarańczowe. Zielonolista ściana z tych roślin czyni parów zupełnie niewidzialnym dla oka pierwszego raz w te strony przybywającego wędrowca. Takim wędrowcem był mój ojciec. Śmiało, z całym zaufaniem nieświadomości, stanął nad samym brzegiem niezbyt głębokiej, ale ostremi kamieniami najeżonej, przepaści. Jeden krok jeszcze, a byłby się znalazł na dnie parowu. Już miał krok ten zrobić, znechęcony pięknosciami jakiejś gałązki Caprifolium, gdy o kilka kroków od niego dał się słyszeć spokojny głos: „Stoisz pan nad przepaścią.” Słowa były wymówione po-niemiecku i ojciec ich nie zrozumiał, ale się się zatrzymał. Powtórzono to samo po-angielsku z nielepszym skutkiem, potem po-włosku i hiszpańsku, w końcu zdecydował się niemiecki polyglota na użycie niemilej mu mowy francuzkiej i nareszcie został zrozumianym.

Nastąpiły uprzejme podziękowania, wzajemna prezentacja i wspólny powrót ze spaceru. Przez

drogę rozmawiali ci panowie z takim ożywieniem i swobodą, jakgdyby ich już długoletnie łączyły stosunki. Skończyło się zaproszeniem do domu, które mile przyjęto.

Professor jest człowiekiem uczonym, ale doprawdy nie wiem dotąd, jaka jest jego specjalność, bo, z rozmowy wnosząc, możnaby sądzić, że wszystkie gałęzie wiedzy z równą pilnością studiował.

Taka wszechstronność podobno nieczęsto spotyka się u Niemców. Zauważyłam, że ma on nadzwyczaj miły, melodyjny głos. Przymknawszy oczy, można z całą przyjemnością słuchać jego głębokiej, pełnej nowych i niezwykłych poglądów, rozmowy. Ale wraz z podniesieniem powiek, czar przyska. Widzi się przed sobą Mefistofela, z przyrośniętym do ust sarkastycznym uśmiechem i ma się wrażenie, że ten człowiek nie wierzy w to, o czem drugich przy pomocy bardzo zręcznej argumentacji przekonać usiłuje.

Dnia 19-go Listopada.

Złudzenia i złudzenia! Polepszenie minęło i znowu jestem równie cierpiącą i słabą, jak przed wyjazdem naszym za granicę.

Od kilku dni dręczy mnie ból piersi i silny suchy kaszel. Zimno mi w ciągu dnia, wieczorem ciało moje się rozpała, na twarz występują rumieńce, oczy błyszczą gorączkowo, a w głowie zaczyna się szalone wrzenie buntowniczych myśli i pożądań.

Dnia 21-go Listopada.

Najmilszy tu spacer nad morzem. Wczoraj chodziliśmy, ojciec, Wanda i ja, po wybrzeżu. Oni zachwycali się tym widokiem, wciągali w płuca balsamiczne, ożywcze powietrze.

Ja-bo widać zawsze z całym światem w niezgodzie być muszę. Oni mówią, że to morze i ten kraj śmieją się weselem. Na mnie od tej nieskończonej błękitnej tafli czarne jakies tęsknoty wieją, ale czyż jest na całym świecie zakątek, z któregoby smutek nie wyzierał na mnie swemi blademi, rozpaczliwymi oczami!

Pamiętam, przeszłego roku chorowałam przez kilka tygodni. Gdy wstałam pierwszy raz i zbliżyłam się do okna, ujrzałam polską naszą zimę w całej pełni. Otóż wówczas biały całun śnieżny zrobił na mnie to samo wrażenie, co teraz ta wielka lazuruwa powierzchnia.

I tu i tam bezmiar, nieskończoność, zima, śmierć i nicosć.

Ja wiem, że tylko chorzy mogą doznawać podobnego uczucia beznadziejności, która się jakoś dziwnie z uczuciem chłodu kojarzy. A mnie jest ciągle zimno, i tu, i tam.

Po powrocie ze spaceru oddano ojcu depeszę i list z kraju. Depesza zapowiada przyjazd ciotki na dzień następny. Za kilka godzin zatem spodziewać jej się można.

Listem Janusz zawiadamia nas, że zdrowie jego matki polepszyło się do tego stopnia, iż za kilka dni do Karlsbadu wyjechać będzie mogła. On ją odprowadzi a następnie tu z nami czas jakiś przepędzić zamysła.

Tak więc powiększy się nasze grono, a dobrze było nam samym.

Wanda bardzo z tego obrotu rzeczy zadowolona. Ona bez licznego towarzystwa nawet w najpiękniejszym miejscu nudzić się może, a myśmy tu dotąd żadnych znajomości nie zawarli. Garbatego profesora nie liczę; Wanda na niego patrzeć nie może.

Janusza Wanda nie zna. Dopytuje się o niego z ciekawością pensjonarki. Cóż jej powiem? Ja nie znam go także. Jest moim narzeczonym od dzieciństwa, ale widywaliśmy się rzadko, a przez ostatnie dwa lata prawie wcale. Choroba i śmierć ojca, potem długotrwała choroba matki, trzymały go zdala od nas.

Co do jego charakteru, matka nazywa go poetą, ale to niczego nie dowodzi, bo pani Hrabina M. tem mianem, w jej ustach wysoce pogardliwym, darzy zarówno każdego niedołęgę jak i człowieka, który do dobrego stołu, wygodnego łóżka

wszelkich materialnych uciech najwyższej nie przywiązuje wagi.

Ojciec mój mówi o nim zawsze: to bardzo dobry chłopiec, — a Wanda powie zapewne: to bardzo ładny chłopiec. A narzeczona jego co powie? Jego narzeczona chciałaby mieć mężem wielkiego człowieka. Czy Janusz będzie nim kiedykolwiek? Narzeczona wątpi bardzo.

(Dalszy ciąg nastąpi)

## Kronika działalności kobiecej.

— W Petersburgu na publicznych dyssertacjach o wychowaniu dzieci, odbywających się jak i lat poprzednich w muzeum pedagogicznym zakładów wojskowo-wychowawczych, jedna z uczestniczek odczytała na pierwszym zebraniu referat: „O pamięci dziecka od chwili urodzenia do lat trzech“.

— Dzienniki petersburskie donoszą, iż zamiar utworzenia dla kobiet instytutu farmaceutycznego jest silnie popierany. Projekt organizacji tego zakładu ma być przyłączonym do nowej ustawy o wykształceniu farmaceutów i razem złożony radzie państwa do zatwierdzenia.

— Warszawskie towarzystwo wzajemnej pomocy subjektów handlowych i przemysłowych zaliczyło pomiędzy członków protektorów p. Z. Laurysiewiczównę. Między kandydatami, przyjętymi na członków towarzystwa, znajduje się kobieta trzy.

— Z początkiem przyszłego kwartału ma powstać w mieście naszym biuro komisyjonek, dostarczające na żądanie praczek, pilnowaczek chorych, czasowo potrzebnych kucharek, posługaczek i wogóle robotnic domowych.

— Kursa dla włościanek, uzdalniających się na lekarki chorób kobiecych, otrzymają w tym roku program szerszy według opracowania Rady Lekarskiej. Kursów czteromiesięcznych będzie w ciągu bieżącego roku trzy. Na każdym z takich kursów przy szpitalu Dzieciątka Jezus może się mieścić uczennic włościanek sześć. Odbywające naukę na koszcie skarbowym są obowiązane do odslużiwania tej nauki w wymienionym szpitalu przez lat trzy.

— P. Janina Suchocka ułożyła wierszem libretto do opery „Mara“, napisane prozą przez p. Wład. Müllera na konkurs Towarzystwa Muzycznego. Praca ta otrzymała nagrodę drugą rs. 200. Pierwszej nie przyznano nikomu.

— Przy drugim zakupie przez Towarzystwo Sztuk Pięknych dzieł przeznaczonych do rozlosowania pomiędzy członków, nabytych zostało prac kobiecych sześć. Razem nabyło Towarzystwo: Jadwigi Bobińskiej: „Begonia“, Stefanii Cygall „Główka chłopca“ i „Widok Wenecyi“ Emilii Dukszyńskiej „Kobieta z Dachau“ Maryi Dulembianki „Główka dziewczynki“, „Na Prymaryi“, „Janek Krzemienica“, „Pod Drwalnią“, Alfonsiny Kanigowskiej „Dziewczynka“, „Ukrainka“, „Dziewczyna“, Zofii Stankiewiczówny „Brzegi Normandyi“. Na wystawie szkiców w Salonie Artystycznym na Nowym Świecie prace tej ostatniej malarki zwracają uwagę. Umie ona patrzeć na naturę i odczuwać poezją jej piękności. W tymże salonie szkice Dukszyńskiej pociągają też do siebie.

— Zofia Daszyńska miała w Wiedniu odczyt na korzyść towarzystwa rozszerzającego wykształcenie kobiet: „Fürerweiterte Frauenbildung“. Prelegentka kreśliła stan szkół kobiecych w Warszawie i Królestwie, wykazując jak w braku innych gałęzi odpowiedniej pracy dla kobiet wyższej inteligencji, zwróciła się

liczba ich znaczna na pole literatury. Streszczając historycznie rozwój myśli i dążeń „kobiet” u nas, przedstawiła jako reprezentantkę tego ruchu Tańską, a następnie Zmichowską, entuzjastki a dalej ogólną działalność kobiet w ostatnim peryodzie lat dwudziestu.

— Cesarzowa austriacka Elżbieta otrzymała od Leona XIII złotą różę, jaką Papież obdarzają corocznie jedną z kobiet zajmujących wysokie stanowisko monarchii, lub odznaczających się wyższą dostojnością ducha. Zwyczaj ten zaszczytnego dla kobiet podarunku przez Papieżów datuje od 1048 r., przecież poza rodzinami panujących rzadko kiedy dostawał się on kobietom, a zawsze odznaczającym się nie tylko wyjątkową cnotą, ale i wpływem działaniem na jej rozszerzenie. Leon XIII uznał, że zasługuje na tę nagrodę także i pani Carnot, która zajmując pierwsze miejsce wśród zmaterjalizowanego społeczeństwa, umie trzymać się poważnie w kole rodzinnem, nie tonąc w zbytkach, w używaniu hałaśliwym — spełniając cnoty, jakich kościół wymaga od żon i matek dobrych — od kobiet zacnych. Zaszczyt ten ma spaść na nią w roku przyszłym.

— Katarzyna Hoffman, wdowa po bogatym przemysłowcu wiedeńskim, fabrykancie wyrobów bawełnianych, zapisała ostatnią swą wolą cały majątek robotnikom fabrycznym tej gałęzi przemysłu w Wiedniu. — Z ich pracy powstał... to był argument, objaśniający krewnych, którym zostawiła tylko drobne upominki.

— Dziewiętnaście sędziwych już kobiet zostało w Norwegii obdarzonych srebrnym medalem zasługi za uczciwą i długoletnią pracę w jednej rodzinie. Były w tej liczbie takie, które pracowały po lat trzydzieści, najpierw u rodziców, potem u dzieci. Do medala takiego przywiązana jest niewielka pensyjka.

— Złoty medal zasługi otrzymała z rąk króla szwedzkiego ochmistrzyni dwuklassowej szkoły dziewcząt w Stockholmie, której przewodniczyła lat kilkadziesiąt z poświęceniem, kształcąc nie tylko umysły, ale i serca — oświecając, urabiając do cnoty. Medal ów, który nosi się na błękitnej wstędze ze złotym brzezkiem ma wyszyty napis łaciński: „Illis quorum meruere labores“. Otrzymała go raz pierwszy kobieta, i to nie zajmująca żadnego wybitnego stanowiska w społeczeństwie, nieposiadająca nauki wiele wyższej nad elementarną, ale z serca ludzkiego tryska też promień, przy którego blasku można na każdym stanowisku osiąść zasługę wyższej godności obywatelskiej.

— W szwedzkich szkołach ludowych dziewcząt wprowadzoną zostaje nauka gotowania. Kurs obejmuje 24 lekcji dwugodzinnych, z których dziesięć praktycznych, a dziesięć teoretycznych, cztery zaś oddanych nauce gotowania dla chorych, z dodatkiem objaśnień: przy jakim stanie zdrowia jakie jedzenie służyć może najlepiej. Uczennice będą też utrzymywać całkowity porządek w kuchni szkolnej, myć w niej co Sobota podłogę i czyścić wszystkie naczynia, przeczem będą otrzymywały wskazówki co do użycia tu pewnych odpowiednich środków, a to naprzykład czem czyścić miedz, czem mosiądz i zarazem jakim może być wpływ naczyń na zdrowotność, oraz na smak gotowanych potraw. Lekcje odbywać się będą przed południem i ugotowany na nich obiad uczennice spożyją wraz z nauczycielkami. Przy obiedzie tym nastąpi niejako druga lekcya, jak powinno się zachowywać przy jedzeniu. Uczennice podzielone zostaną na oddziały od czterech do sześciu dziewcząt. Każda z nich będzie gotować w czasie trwania kursu kolejno inną potrawę i opisać skład jej, oraz sposób przygotowania. Opisy te, poprowadzone przez nauczycielkę, służyć potem przyszłej gospodyni domu. Nauka to bardzo ważna ze względu na przyszłe życie uczennicy w rodzinie, szczególnież też od czasu, gdy fabryka chwytają ją zaraz od wyjścia z małoletności co nie dozwala jej się oświecić w gospodarstwie domowym.

— We Francji, w Paryżu, zawiązało się sto-

warzyszenie kobiece z celem kształcenia umysłów — rozszerzania, pogłębiania nauki, która we francuskich szkołach dziewcząt jest więcej niż gdzieindziej powierzchowną, i przyniesie też może powierzchowne tylko korzyści. Oszlifowywa ona niejako umysł, może dać mu pewien połysk, ale nie przynosi tych korzyści, jakie otrzymuje od niej ten, kto przez poważniejszą pracę naukową dostaje, nietylko wiedzę szerszą, ale i wyrobienie myśli doskonalsze. Stowarzyszenie, które powyższe uwagi w ustawie swej zamieszcza, nosi nazwę: „Union des Amies de Lettres“; prezydentką jego jest pani używająca opinii kobiety zacnej, Anna Vattier d'Ambroyse. Stowarzyszone zgromadzają się wieczorami, poświęcając tu czas historycznym i literackim studjom — czytania głośnemu dzieł znakomitych pisarzy francuzkich i zagranicznych. Pierwszy paragraf statutu obejmuje, bez wyjątku dla lat i położenia, nakaz zupełnego wyrzeczenia się nieobyczajnych, brudzących wyobraźnię romansów Zoli, Bourget'a, Maupassant'a i wogóle całej tej szkoły naturalistycznej, odzierającej kobietę z owego uczciwego wstydu, którego „nie może ona pozbyć się nigdy bezkarnie“. — „Prawdziwy szacunek szlachetnych, rozumnych mężczyzn dostaje się takiej, która umie się jeszcze runienić“ pisze M-me Vattier d'Ambroyse w kontrakcie stowarzyszenia — w jego statucie, i wszystko, co pod tym względem mieści się tam, można streścić w słowach naszego poety: — Nie być, lecz wyrosć trzeba na dziewicę... Stowarzyszenie ograniczające się obecnie wyłącznie do Paryża ma zamiar propagandy i rozszerzenia się na prowincye przez zawiązanie filii w większych miastach Francji i Alzacji. W Marsylii już się zaczął objawiać ruch w tym kierunku.

— Pomnik Joanny d'Arc, wykonany kosztem Francji, a mający się wzniesić w Dom Remy, wykona rzeźbiarz paryzki, Mercié. Uda się on tam wkrótce dla poznania tak miejscowości, na której tle ma się wznosić, jak i w ogóle przyrody miejscowej, miejscowego ludu, co wszystko pomoże mu do uchwycenia odpowiedniej charakterystyki. Na model ma służyć jedna z dziewcząt okolicznych. Mercié zamierza przedstawić Dziewicę, nie w pancerzu, jak to było dotychczas tradycyjnem w sztuce francuzkiej, ale w ubiorze miejscowych wieśniaczek owego czasu. Podnoszą się przecież w prassie francuzkiej głosy, które nie przyznają mu słuszności; większość zainteresowanej ta sprawa publiczności sądzi, że ta innowacyą jest mało szczęśliwą. Nie chodzi tu bynajmniej o realne rzeczy przedstawienie, bo Joanna stała się już dziś jedynie mytem heroicznego poświęcenia się dla Francji, trzeba też dać jej tę zbroję, która jest charakterystyką idealnego czynu bohaterki. Posąg sam będzie wykonany z marmurą, cokół z granitu wogezkiego.

— Robotnice angielskie poczynają się wiązać w towarzystwa wzajemnej pomocy, zwane klubami, a które, nietylko ułatwiają im materialną stronę wygód życia, ale oddziałują szczęśliwie na stan ich umysłów i moralność. Każdy taki klub posiada własny lokal, gdzie w niedziele lub święta zgromadzają się razem wszystkie stowarzyszone, zabawiają się między sobą, urządzają wspólne wycieczki, kształcą się w muzyce i śpiewie choralnym, czytają dobre książki, wreszcie spożywają razem obiad i wieceznię, bo każdy klub ma należąca do niego kawiarnię i restauracyą. W domu klubu są i pokoiki do wynajęcia, w których mieszkają stowarzyszone, pojedynczo lub po parę.

— Dwa tysiące Indyanek przesłało królowej Wiktorji, jako cesarzowej Indji, petycyą proszącą, aby prawnie dozwolony wiek wychodzenia w Indjach kobiety za mąż nie był, jak obecnie, oznaczony na lat dziesięć, lecz czternaście. Kobieta w tym wieku, jakkolwiek dorastać już zaczyna pod niebem Indji, jest przecież pod względem umysłu i serca dzieckiem jeszcze, co uznaje i prawodawstwo indyjskie, ponieważ oddaje ją pod władzę matki mężowskiej, co jest pierwszym stopniem jej niewoli, zwłaszcza, że i wychowanie jej własnych dzieci jest jej odjęciem i oddaniem

świekrze. Póki jest w pierwszym rozkwicie wdzięków, póki mąż zostaje pod wpływem pierwszych, gorętszych uczuć miłości, ma ona jeszcze władzę pewną w domu; przecież następnie, gdy nowa żona silniej ukochaną zostaje, ona zapada w nicość, staje się w domu męża sługą i niewolnicą. Gdyby wychodząc za mąż była starszą, umiałaby lepiej radzić sobie i nie byłoby potrzeby oddawania jej pod władzę matki mężowskiej, co teraz jest koniecznością, zwłaszcza, że młoda małżonka, a raczej młode małżonki douczają się jeszcze, nie tylko w sferze nauki życia, ale i w sferze edukacji książkowej, którą pobierają wspólnie pod kierunkiem świekry.

## Z bieżącej chwili.

— Towarzystwo Geograficzne w Petersburgu postanowiło zbadać kwestyę syberyjskich dróg wodnych, jako ogień przyszłej kolei żelaznej. Dwie kompetentne w tym zakresie prac inżynierskich osoby przedstawią wkrótce Towarzystwu opracowanie swoje tego przedmiotu.

— Dzienniki petersburskie donoszą o podjętym w sferach rządowych projekcie przekształcenia miejskich ochron dla dzieci na specjalne szkoły rzemieślnicze.

— Wystawa pedagogiczna, mająca odbyć się w mieście naszym na jesieni b. r. budzi już zajęcie i program jest bardzo oczekiwany. Czy przecież potrzebne tu środki są już zgromadzone? „Kurjer Warszawski“ donosi o darze 500 rs. ofiarowanych na cel wystawy przez p. Sz., ziemianina.

— Towarzystwo popierania Przemysłu zajmuje się gorliwie sprawą urządzenia Muzeum Rzemieślniczego, które mieściłoby wyborowe okazy prac rękodzielniczych, mogące służyć jako wzory dla osób, pracujących na tem polu. Ustawa Muzeum już jest zatwierdzoną i p. Hipolit Walvelberg uczynił na rzecz tej instytucji obywatelską ofiarę 25.000 rs. Na ostatniem zebraniu komitetu projektowano bezpłatne wejście dla członków i tylko pewną opłatę za kopiowanie wzorów, przeciw czemu zaprotestował słusznie professor Gerson i St. Rotwand na zasadzie, że właśnie kopiowanie wzorów służy bezpośrednio celowi doskonalenia rękodzieł i drobnego przemysłu, dla czego głównie Muzeum wzniesionem zostało. Otwarcie nastąpi wkrótce.

— Towarzystwo Sztuk pięknych otworzyło d. 11-go Stycznia dwie wystawy: projektów i dzieł, nadesłanych na konkurs architektoniczny, oraz obrazów i szkiców przeznaczonych na konkurs malarski. Pierwszy konkurs, rozstrzygnięty trzema nagrodami: 600, 300 i 200 rs. zgromadził 19 okazyw przyjętych; drugi, z jedną nagrodą prof. Gersona, dzieł malarskich 8.

— W Teatrze Wielkim, po dokonaniem przebudowaniu będzie miejsc 1.185, a to: Na parterze krzesel 326, w 21 łóżach parterowych miejsc 84. Na I-em piętrze 9 łóż sześciuosobowych, 16 łóż czterosobowych, razem 118 miejsc. Na II-m piętrze 16 łóż czterosobowych, amfiteatr mieszczący 70 osób, razem 134. Na galerii miejsc 242, na paradyzie 284. Wszystkie miejsca będą numerowane.

— Modrzejewska wystąpi na scenie warszawskiego „Teatru Letniego“ razy dziewięć. Dy-

rekcyja teatru rozdzieliła te przedstawienia na trzy seryje abonamentowe. Bilety na pojedyncze przedstawienia o tyle tylko będzie można dostać, o ile ich pozostanie od zamówień abonamentowych. Sztuki przedstawiane będą: „Adryanna Lecouvreur“, „Marya Stuart“, „Odetta“, „Dama Kameliowa“, „Dalila“, „Macbeth“

— Wystawa w Pradze, zapowiedziana na lato bieżącego roku, wydzieliła obszerne miejsce dla okazyw międzynarodowych. Sekcyja XXVII została przeznaczoną na nie, deklaracje nadsyłać można do d. 31 b. miesiąca. P. Artur Gobiet, członek komitetu wystawy uprzejmie tu pośredniczy. Po szczegółowe objaśnienia zwracać się należy do niego. Adres jest: Praga (Carolinental).

— Koło literacko-artystyczne w Krakowie obchodzić będzie wkrótce dziesięciolecie swego istnienia. Jednocześnie wyjdzie książka pamiątkowa.

— Prace restauracyjne głównej nawy kościoła Panny Maryi w Krakowie nie ustają pomimo największych mrozów. Kościół jest też ogrzewany. Restauracyja prezbiterium wzbudza ogólne uwielbienie, tak przez wspaniałość, jak i artystyczne odtworzenie dawnego stylu. Wprawdzie odkryto tu podczas prac restauracyjnych pod tynkiem i gipsem z XVII i XVIII-go wieku niespodziewane bogactwa pierwotnej architektury. Wiek XVIII zszpecił głównie gotyk pierwotny, przez niskie kapitele, pilastry, gipsatury barokowe, przyczem zatynkowano profile gotyckie, rzeźby, laskowania. Obecnie, gdy usunięto to wszystko, wielki ołtarz — dzieło Wita Stwosza, wychodzi w całej swej piękności pierwotnej, a wspaniałości jego odpowiada polichromia ścian. I brakuje tu tylko odpowiednich witraży, aby jasne barwy polichromii pędzla Mattejki przybrały w zamroczonem oświetleniu świątyni ton, harmonizujący ze stylem gotyckim świątyni. W trzech tylko oknach zachowały się stare witraże, przecież i okna boczne otrzymają wkrótce odpowiednie oszklenie. Przeznaczone przez ministerium oświaty na cele popierania sztuki 3.000 złr. zostały przeznaczone na wykonanie sześciu posągów, które staną tu również, w prezbiterium.

Fundusz na odnowienie nawy ofiarował kanonik Juliusz Bukowski. I tu burzą się naleciałości późniejszych przeróbek, i restauracyja, niedość się również ze stylem pierwotnej architektury. Ambonę i wielkie organy rozebrano starannie i przechowano, aż do czasu, gdy po ukończeniu restauracyji nawy głównej znowu będą mogły znaleźć się na swoim miejscu. Mattejko przedstawił już komitetowi szkice dekoracyji nawy głównej i pobocznych. Tu mistrz nie będzie już rozwijał takiego przepychu barw, nie tylko z tej przyczyny, że trzeba się liczyć z funduszem, ale głównie dla tego, aby, aby wspaniałość prezbiterium występowała efektem silniejszą. Tak on żył się z epoką, której dzieł dotyka ze czcią pobożną, że duch jego wcielił się w nią niejako.

— Julian Ochorowicz rozpoczął w Krakowie seryją odczytów „O tajemnicach kapłanów egipskich“. Słuchacze otrzymają wytlómaczenie naukowe owych głosów, to jest echa, rozlegającego się po świątyniach; owego ognia sprowadzanego z nieba na ziemię, stosów samopalnych, napisów ognistych, piorunów ściąganych na zawołanie.

— W piśmie niemieckiem „Alte und neue Welt“, zamieszczono artykuł o Janie Kochanowskim z portretem poety.

— W Monachium zmarł jeden z celniejszych malarzy, Franciszek Streitt, Krakowianin. Dzieła

jego pędzla znajdowały uznanie za granicą; krytycy niemieccy, francuzcy i angielscy przyznawali mu talent wyższy i podniosłe pojmowanie sztuki.

— Spółka wydawnicza zawiązała się w miesiącu ubiegłym w Krakowie z kapitałem 100.000 zł. ren. Celem spółki jest wydawanie czasopism, broszur, dzieł treści beletrystycznej, oraz popularnych, lub ściśle naukowych, pojedynczo, albo seryjami. Spółka zaczyna od wydawania z początkiem roku tygodnika popularnego, który byłby przystępnym dla czytelników warstw wszystkich.

— Międzynarodowa wystawa sztuki w Berlinie, otwarta w dniu 1 Maja, a mająca trwać do 15 Września, przyjmuje przesyłane jej okazy od d. 14 Marca do 10 Kwietnia. Rysunki albo fotografie do ilustrowanego katalogu wystawy przyjmowane są po d. 15 Marca. Okazy nadesłane grupować się będą w wystawy pojedynczych krajów, albo tworzyć grupy kilku narodowości. Sztuka niemiecka utworzy grupy: Berlin, Monachium, Düsseldorf, Dreźnie, Weimar i Karlsruhe. Wystawa obejmuje obrazy i portrety, plany architektoniczne, fotografie portretów. Znajdować się tu będzie oddział dla dzieł ilustrowanych, malowane wachlarze, dyplomy i adressy. Od ceny sprzedanych dzieł sztuki zarząd odciągnie 1% procent.

## Encyklopedia Ilustrowana MEDYCyny I HYGIENY POPULARNEJ

D-ra Pawła Bonami

opracowana i do naszych stosunków zdrowotnych zastosowana

przez

D-ra Józefa Starkmana.

Zeszyt XVIII wyszedł z druku i zawiera między innymi: **Ostenda, ostrygi, oświetlenie, oszpeccenie, otrucia, otrzewna, otyłość, owoce, owrzodzenia. Paproć, pasorzyty, pastylki, paznogie, pełnokrwistość, pensjonat, pepsina, pieczyste, piegi, pieprz, piersiowe środki i t. p.**

Cena zeszytu kop. 30. Poczta 36. Najwygodniej z prowincyi nadsyłać po rubli 2 na raz. Wszystkich zeszytów będzie 30. Dla płacących z góry za całe dzieło: rs. 8, pocztą rs. 9 kop. 50. Do odebrania i do nabycia u M. Orgelbranda wprost pomnika Kopernika i we wszystkich znaczniejszych księgarniach.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się Arkusz 9-y powieści pod tytułem: **Ordynat na Ballantrae**, przez Roberta Ludwika Stevensona, przekład z angielskiego.

**TREŚĆ:** Pogawędka. — Hrywda. Powieść, przez Maryę Rodziewicz, (dalszy ciąg). — O współdziale kobiet w międzynarodowych kongressach więziennych, przez Alexandra Moldenhawera (dalszy ciąg). — Ze znalezionych kartek. — Kronika działalności ko-

**Dodatek obejmuje:** Arkusz 9-y powieści, pod tytułem: **Ordynat na Ballantrae** przez Roberta Ludwika Stevensona, Przekład z angielskiego. — Przegląd mód. — 18 wzorów ubiorów i robót z opisem. — **Sekreta gospodarskie.** — **Dyspozycyja stołu.**

Warszawa. — W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście № 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою. — Варшава 2 Января 1891 года.



## PRZEGLĄD MÓD.

Karnawał. — Toalety balowe. — Śliczna cyganka po grecku ubrana. — Rękawy odmienne od sukni. — Sukno nawet na słubną suknię. — Astrachan. — Kamienie i blaszki złote na koronkach. — Rękawiczki krótkie.

Chciałabym wam miłe czytelniczki coś powiedzieć z karnawału, który dotąd cicho dość się zachowuje, a chociaż coroczna filantropija nie minie Warszawę i bale na dwa tak sympatyczne, cele jak kassa studentów i szpital dziecinny udać się muszą z zasady, bo gdy sto pań, tak wyraźnie sto, zajmie się rozprzedają biletów, toć te sto nazwane gospodyniami muszą się przecież znaleźć na sali balowej i oto bal się udał w sto par. Czy jednak tam kto z dobrej woli i własnego humoru się bawi, o to wcale nie idzie, byle pieniądze były zebrane. Na jednym z balów prywatnych widzieliśmy śliczne toalety, słuszenie mogące świetnie na każdym publicznym, bo i cóż za różnicę robią panie w swych toaletach na publiczne bale, jeżeli na prywatnych robią takie świetne? Panny stanowczo noszą suknie do tańca dotykające ziemi, męzkatki treny nie przechodzące 30 cent. długości. Ponieważ sukno jak wiemy jest dziś tak modne, że od rannego szlafroka aż do sukni balowej nosi się sukno, więc też jedna śliczna brunetka o cygańskich rysach miała suknię białą sukieną, naszytą w dole lampasem złotym, takież pasek okalał wcięcie prostego różnego marszczonego w dole stanika, wyciętego w kwadrat „à la grecque“, rękawy gazowe, naszyte złotymi blaszkami, spadały jak długie greckie, odsłaniając ręce przybrane w greckie branzolety, a główka uczesana przez pana Eugeniusza (Wierzbowa 1) dopełniała tej greckiej postaci; z przodu lekko fryzowana grzywka, w środku głowy włosy skręcone mocno w rodzaj węzła przepiętego dwoma złotymi strzałami, ze środka którego wysypywały się jakby z rogu obfitości na wszystkie strony drobniutki loczki. Do bardzo modnych ozdób należą wszelkie szpilki i ozdoby rogowe lub szylkretowe, blondynki używają ciemnego rogu, brunetki jasnego, do greckiego układu wpięte strzały lub sztylety w tylne włosy ślicznie zdobią całą koafiurę. Inna toaleta była z różowego muślinu przybrana zielonym pluszem koloru mchu, na staniku szelki, na bokach słupy, a wszystko naszyte stalowymi falcetkami, rodzaj blaszek. Dwie siostry miały śliczne dwie sukienki mniej kosztowne z ma-

teryалу od pani Heurich, woalina na białem tle, wzory ciągnione różowe, na drugiej koloru tourterelle (gołębi), rękawy jedwabne w kolorze deseni na sukni, długie szarfy o kilku rzędach z wstążek, a w około wyciętych w szal staników gruba riusza gazowa także w kolorze właściwym obdziergana białym jedwabiem, śliczne i modne były te toalety a co najwięcej zrobione własnymi rączkami z podanych w naszym piśmie wzorów. Dwie męzkatki miały wspaniałe toalety, jedna z atlasu koloru łosia z przodem heliotrop zahaftowanym srebrem, także pół długie rękawy, we włosach pióro w obu kolorach. Druga blado niebieska „gros-grain“ przybrana bardzo umiejętnie szerokimi czarnymi aksamitnymi i niebieskimi szarfami. Niektóre panie sądzą, że ponieważ moda pozwala nosić odmienne od sukni rękawy, więc je można nosić do każdej sukni — przepraszam bardzo, najprzód, już ta moda jest mniej ekscentryczną i robią się rękawy konieczne w kolorze lub przybraniu sukni tylko z odmiennego materiału, a nigdy z odmiennego koloru — tembardziej zaś do sukni ciężkiej jedwabnej, którą się rzadko sprawia nie nosi się odmiennych rękawów; w ogóle tylko do fantazyjnych sukien stosować ją należy.

Wracając jeszcze do sukna, to dodać tu musimy, że moda do tego stopnia stawia go na pierwszym planie, że nawet na suknie ślubne aż do wiosny będzie używane. Widziemy kapelusze już nie tylko sukienne ale nawet aksamitne i filcowe, ubierają sukniem, robiąc w około draperją a z przodu węzeł. W Paryżu tak bardzo noszą imitację czarnych baranek „astrachanem“ zwanych, że od modnej liberyi stangreta wielkiego domu, aż do całych zakątek wszystko nim przybierają. Możemy to jednak dodać, że jako przybranie jest bardzo ładny, ale cała zakietka lub nawet całe rękawy przy gładkim materiale nie ładnie a co więcej niezgrabnie wyglądają.

Kamienie i metalowe blaszki wszelkich odcieni zasiewają całe toalety; ciemne topazy, rubiny a nawet brylanty, imitacje prawdziwych, płasko ścięte i opatrzone dziurkami do przytwierdzenia naszywają na najdroższe koronki weneckie a następnie robią z nich główki kapotek, ubiorki na głowę, lub naszywają staniki, robiąc nawet kołnierze stojące na drucikach „à la Marie Stuart.“ Rękawiczki jasne glansowane stanowczo wracają do mody, choć już nie dobierają się do koloru sukni, ale koloru zupełnie jasnej skóry lub żółtawego masła noszą się do każdej jasnej lub kolorowej toalety, do długich rękawów nigdy dłuższych nad trzy guziki brać nie należy, choć panowie rękawicznicy gwałtem karotują panie, mówiąc, iż się takich krótkich nie robi, obstalować a muszą zrobić.

L. C.



Nr 1. Suknia balowa lub wieczorowa z sukna. (Opis pierw. str. tabl.)

Nr 2. Suknia z aksamitu i gazy jedwabnej haftowanej. (Opis pierw. str. tabl.)

### Serwetka na tackę ozdobiona haftem.

Rycina Nr 3—6.

Serwetka wykonana z białej angielskiej skórki ozdobiona haftem wykonanym białą bawełną i otoczona frendzlą. Nr 3 przedstawia gałązkę naturalnej wielkości ścięciem płaskim, gałązkowym, rybiej łuszczyki i dzierganym. Nr 5 przedstawia część szlaka ścięciem sznureczkowym. Nr 6 przedstawia rząd ząbków z frendzlą. Ząbki wykonane ścięciem dzierganym. Frendzlę wykonać potrójną nitką białej drutowej bawełny, drutami stalowymi na założeniu 4 oczek. 1 kolej: 2 razy na przemian drut owinać, 2 ocz. razem przerob. 2 kolej: wykonać słupkę 3 cent. dług. (na co można użyć podkładu z tektury, potem dwa razy naprzemian nitkę na drut założyć, następnie oczko i następnie okręcenie raodwrot. przerob. Na przemian powtarzać te dwie koleje. Frendzla ta wykonana włóczką służyć może do otaczania dywaników, serwetek i t. p.

## Poduszka na krzesło do fortepianu.

Rycina Nr 7.

Poduszka wykonana na tkaninie kanwowej nie dzielonej, rozmaitego koloru filozelą ścięciem płaskim mijanym przez 4 nitki wysokości, oprócz figur liściowych, które przejmować jak wskazuje ryc. przez dwie nitki tkaniny, otaczać jedwabiem koloru brązowego i niebieskim jedwabiem w 3 cieniach i wypełniać jedwabiem żółtym. Liście wykonać jedwabiem koloru oliwkowego w 3 cieniach. Inne zaś figury otaczane jedwabiem brązowym i żółtym w 2-ch cieniach koloru poziomkowego. Tło wypełnić ciemno-poziomkowym kolorem.

## Żakiet z materiału „matelasse“ i aksamitu.

Rycina Nr 9. (Krój odwr. str. tabl. Nr VIII, fig 57—63).

Żakiet z „matelasse“ koloru czarnego. Dopełnić złożenie fig. 57, 48, 61 i 63 skrajając fig. 57 i 62 po jednej części złożonej wzdłuż środka, kołnierz z uwzględnieniem

i nieco powłóczyta. Lewy bok przybrany rodzajem szarfy zakończonej jedwabną frendzlą. Stanik podług ryc. Kołnierz aksamitny „Médicis“ przybrany perłami. Rękawy zakończone falbaną z krepy ułożonej w zaprasowane fałdy.

## Wachlarz ozdobiony bukietem „eu relief.“

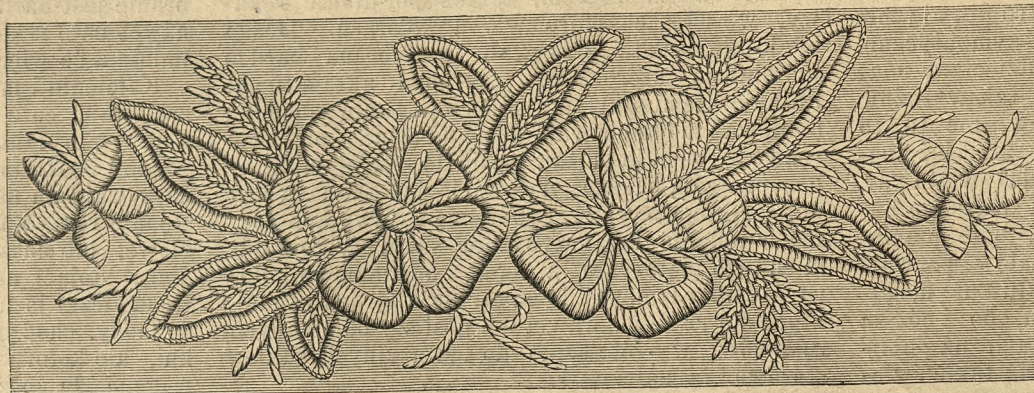
Rycina Nr 15.

Pręciki wachlarza wykonane z drzewa złocznego. Osłona z mulu jedwabnego koloru ponsowego z malowidłem gałązki maku. Takież kwiat wykonany z materiału jedwabnego z opadającą gałązką liści i pączków zdoła część wachlarza, który złożony przedstawia bukiet. Kokarda z ponsowej jedwabnej wstążki wykończy całość.

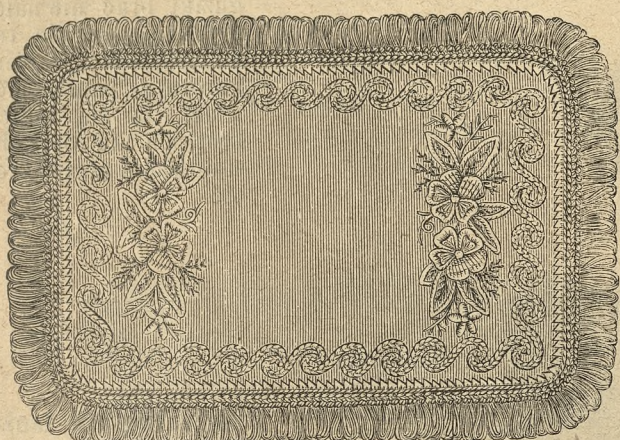
## Suknia wieczorowa z materiału jedwabnego „broché.“

Rycina Nr 2 i 13 w Bl. Nr 4. (Krój pierw. str. tabl. Nr I, fig. 1—15).

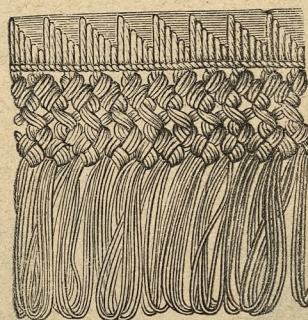
Suknia z materiału jedwabnego koloru niebieskiego w deseń rzucany kolorowy. Spódnicę skrajając z materiału jedwabnego gładkiego fig. 1 i 3 po jednej części złożonej wzdłuż środka. Fig. 2 dwie części, zaopatrzyć podszewką z muszliny na 30 cent. wysokości zeszyć podług cyfr i wykonać ściągania na tasienkę podług wskazówek w fig. 2 i 3. Dolną część spódnicy otoczyć falbanką 6 centim. szer. i wewnątrz także falbanką 13 centim. szer. Wierzchnią spódnicę skrajając podług fig. 4 i 5 po jednej części złożonej wzdłuż



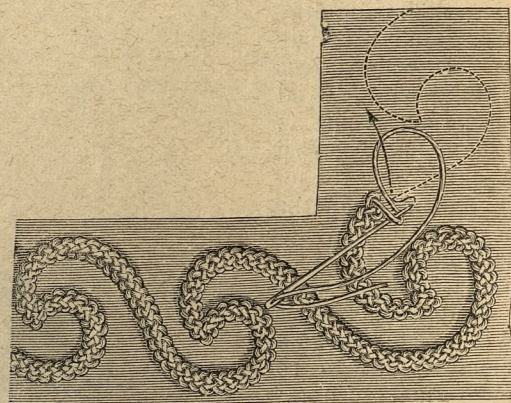
Nr 3. Gałązka haftowana (do ryc. Nr 4). Wielkość oryginalna.



Nr 4. Serwetka ozdobiona haftem (do ryc. Nr 3, 5 i 6).



Nr 6. Frendzla wykonana na drutach do serwetki Nr 4. (Szerokość oryginalna).



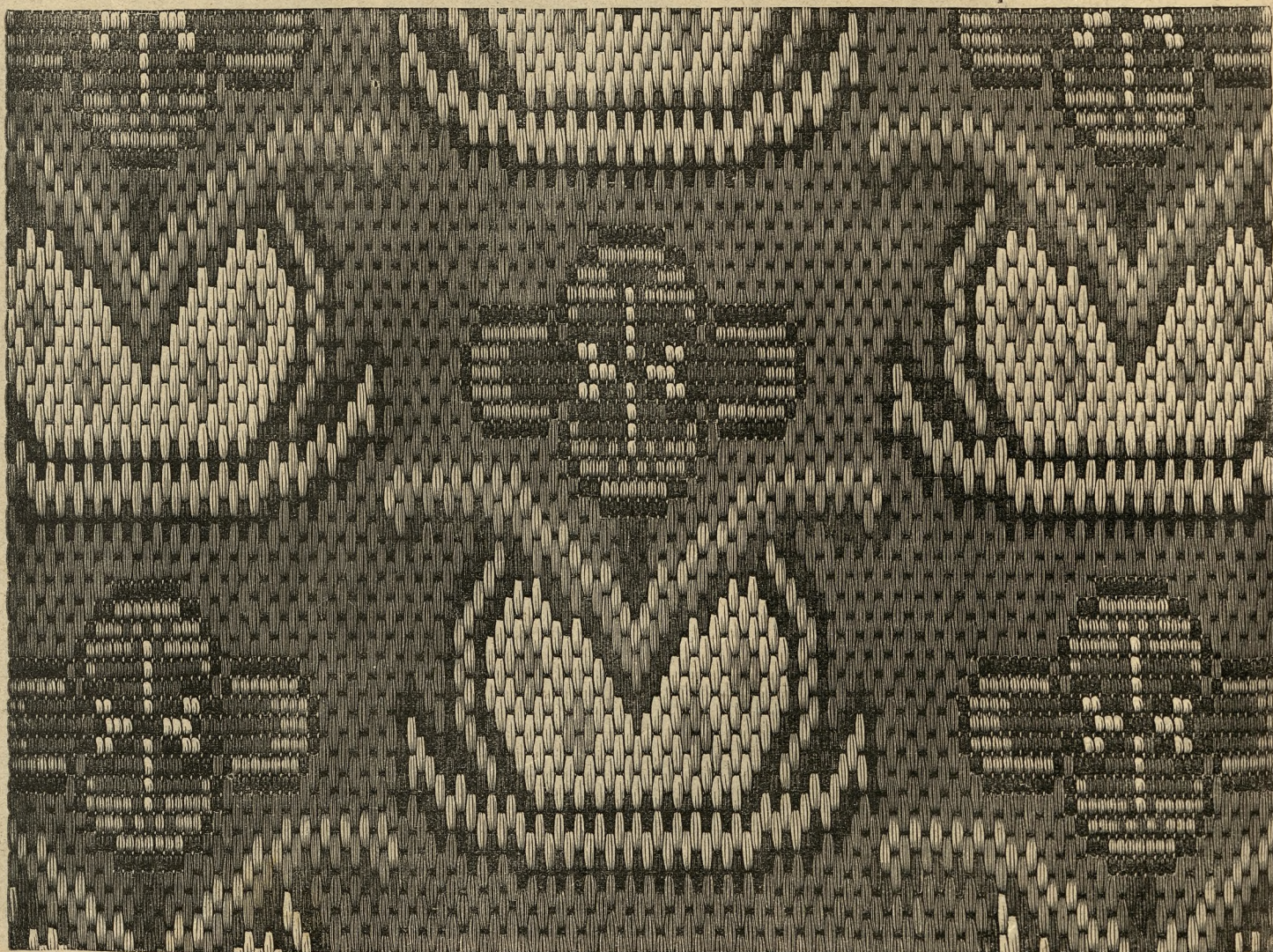
Nr 5. Część szlaczka (do ryc. Nr 4). Haft sznurkowy.

konturu lewego przedniego brzegu; następnie z „matelasse“ i podszewki jedwabnej fig. 58—61 i 36 po dwie części. Wykonać zaszewki w przednich częściach. Część wstawioną zaopatrzyć podszewką muszlinową i jedwabną; przyszyć do prawego przedniego brzegu wzdłuż linii od 53 do 54. Do lewej przedniej części przyszyć listwę z dziurkami i odpowiednią z guzikami do fig. 57. Połączyć plecy, boczki i przednie części podług cyfr; drugi boczek wyłożyć wzdłuż linii i wszyć podług cyfr kołnierzyk zaopatrzonego podkładem i podszewką. Rękawy zeszyć od 69 do 70, dolny brzeg tychże przybrać podług ryc. aksamitem i guzikami, wykonać szew od 67 do 68, górny brzeg zmarszczyć od \* do \* i wszyć w żakiet na 70 w 70. Ozdobić sznurami i guzikami.

## Suknia wieczorowa lub obiadowa.

Rycina Nr 12.

Suknia z bengaliny gładkiej koloru „Ofelja“ (blado lila różowawy) i z takiejże bengaliny haftowanej jedwabiem. Spódnicę lekko drapowaną z przodu, w tylnej części ułożoną w fałdy



Nr 7. Haft na poduszkę.

środką, zaopatrzyć podszewką z muszliny, zeszyć od 5—6, wykonać rozporek; fig. 5 zmarszczyć w górnym brzegu przez całą szerokość, z przodu umocować † na kropce, jako też † oznaczone *a* i *b* na odpowiednich kropkach oraz † *c* fig. 4 na kropce *c* fig. 5. Przyszyć do spodniej spódnicy i podług ryc. przybrać koronkę żółtawego koloru 24 centim. szer. i wstążką aksamitną koloru oliwkowego 3 cent. szer. Stanik po dopełnieniu złożonej fig. 15 skrajając z podszewki jedwabnej fig. 6, 8—12 po dwie części. Podług fig. 14 rękawy, z uwzględnieniem konturu spodniej części. Z materiału „broché“ fig. 7 — 11, 13 i 15 po dwie części. Obłożyć różowym atlasem fig. 6 od przedniego brzegu aż do linii i części pleców pomiędzy liniami, po zeszytciu od 19 do 20. Wykonać zaszewki oraz oznaczone małe fałdy przy



Nr 9. Żakiet z „matelassé“ i aksamitu. (Krój odwr. str. tabl. Nr VIII, fig. 57—63).

doszedłszy lepszego i o wiele oszczędniejszego sposobu przyrządzania takowego, dzieli się nim z czytelniczkami Bluszczu.

Mandarynki zjeść a obrane bez noża skórki grube; cienkich nie warto, bo nie mają tego aromatu; nalać w gąsiorku dobranym spirytusem winnym czyli alkoholem najwyższej próby, który dziś stanowczo jest najlepszy w spółce „Rektyfikacyi, Nowy-Swiat 37. Dwa i pół funta cukru w kawałkach nalać dwoma i pół kwaterkami wody, gdy się parę razy dobrze zagotuje zebrać odrobinę szumowin jakie się pokażą i w gorący wlać kwartę owego spirytusu mieszając łyżką. Gdy ostygnie, wlać go w gąsiorek na włożone skórki z sześciu mandarynek z grubą skórką, postawić w cieniu na trzy dni a czwartego wyraźnie czwartego przefiltrować przez szwecką bibułę, kładąc ją w lejek aptekarskim sposobem, zakorkować i zostawić choć na cztery tygodnie w spokoju a będzie wyborny.

L. C.



Nr 10. Suknia spacerowa z sukna krojem „tailleur“ (do ryc. Nr 11).



Nr 8. Monogram.



Nr 11 Suknia spacerowa z sukna krojem „tailleur“ (do ryc. Nr 10). Krój i opis pierw. str. tabl. Nr VI, fig. 33—48.

paszce. Przednią część zaopatrzyć w haftki do zapinania. Następnie wyłożyć fig. 7 i 13 wzdłuż kropkowanej linii i umocować każdy † na kropce, oraz w dolnym brzegu fig. 7 obydwą † na kropce, przyfastrygować do podszewki, zeszyć plecz, boczki i przednie części podług cyfr. Podszewkę rękawów zeszyć od 24 do 25. W wierzchniej części wykonać szew od 25 do 26, ściśle zmarszczyć w górnym brzegu do dwukropka *a* wzdłuż linii, umocować † na kropce, przyfastrygować do podszewki podług cyfr. Materiał wierzchni zeszyć od \* *a* do \* *b*, wyłożyć wzdłuż linii zgięcie i od 27 do 28 wykonać szew rękawa wewnętrzny. Górny brzeg zmarszczyć od \* do \*, ozdobić podług ryc. i wszyć w stanik trafiając w 28 na 28 przednich części. Wykończyć stanik falbaną koronkową i przepięciami ze wstążki.

### Przepisy gospodarskie.

#### Likier z mandarynek.

Dwa są dziś w handlu najmodniejsze likiery — miętowy i z mandarynek, czyli małych włoskich pomarańczy z odrębnym zupełnie z *a* *p* *a* *c* *h* *e* *m*. Przed rokiem podałam sposób robienia tego ostatniego — dziś jednak

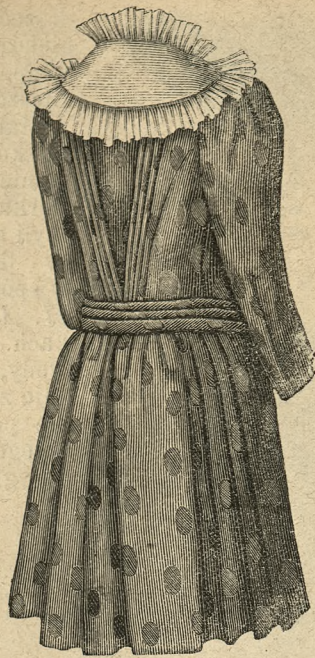


Nr 12. Suknia wieczorowa z bengaliny.

Do dzisiejszego numeru dołącza się tablica krojów, odnosząca się do wzorów w tym i w przysłym numerze *Bluszczu* podać się mających.



Nr 13. Ranna sukienka dla dziecka od 2 — 3 lat. (Kr. i op. pierw. str. tabl. Nr III, fig. 24—28).



Nr 14. Suknia dla panienki od 8—19 lat (do ryc. Nr 16).



Nr 15. Wachlarz z bukietem „eu relief.“

### Obiad na Niedziele.

1. Czarnina z kluseczkami.
2. Potrawa z kaczek z grzybami i perłową kaszą.
3. Szpinak z omeletem.
4. Cielęcina z biszamelem.
5. Krem pomarańczowy.

### KORESPONDENCYA.

*Odp. p. M. na Kaukazie.*

Pannie służącej płaci się u nas 6 rs. miesięcznie, zwyczajnej kucharce mało umiejącej 10 do 12 rubli kwartalnie.



Nr 16. Suknia dla panienki od 8 — 10 lat (do ryc. Nr 14). Kr. i op. pierw. str. tabl. Nr II, fig. 16—23.



Nr 17. Suknia spacerowa z sukna ozdobiona sutaszem.

Dobrej od 5 do 7 rubli miesięcznie. Udać się do kantoru Łuczyńskiego. — Adres: Resursa obywatelska—ten panią najlepiej obsłuży.



Nr 18. Suknia wieczorowa z „faile“ i aksamitu. (Opis odwr. str. tabl.)